

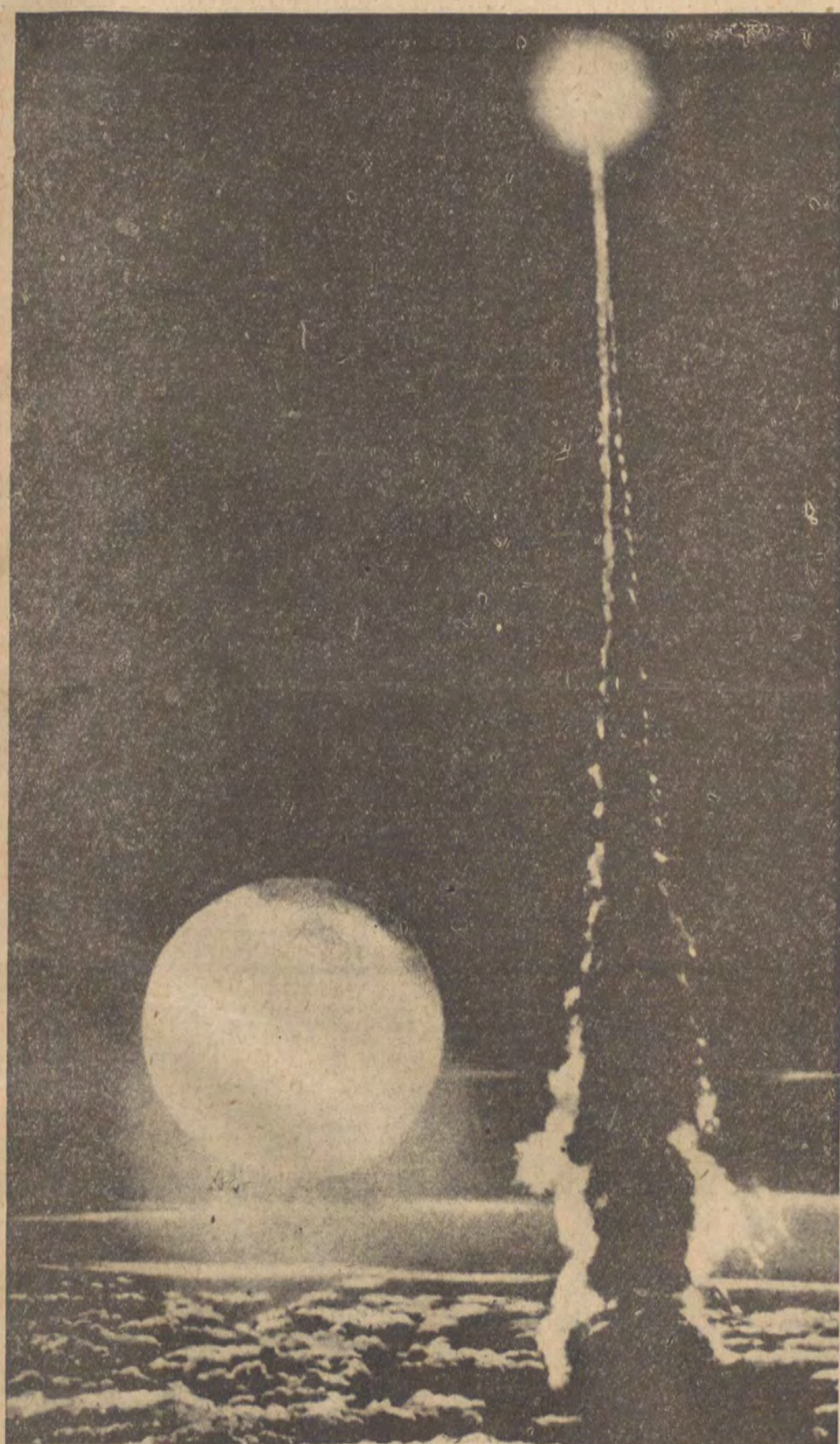
Dziś w namerze: ● Historia Polski w Piotrowodsku ● Jarmark w Tuszynie
● Little America ● Po sześciu premierach ● Trzy prośby
● Wiersze ● Recenzje ● Felietony ● Polonica

Odgłosy



Nr 39 (453)
1. X. 1967 r.
16 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK X



O tradycjach literackich i kulturalnych Łodzi

W dyskusji, która odbyła się w redakcji „Odgłosów”, udział wzięli: dr fil. Helena Karwacka, dyr. Biblioteki im. Waryńskiego — Roman Kaczmarek, prezes zarz. oddz. ZLP — Marian Piechal oraz Jan Huszcza i Jan Koprowski. Poniżej drukujemy wybrane fragmenty z tej dyskusji.

J. KOPROWSKI: Redakcja nasza za prosiła Państwa na dyskusję, której hasłem wywoławczym jest „tradycja literacka Łodzi”. W sporach o tradycję literacką Łodzi ludzie dzielą się na trzy grupy: na tych którzy uważają, że te tradycje są bogate, obfite, ciekawe; takich którzy uważają, że Łódź nie ma tradycji literackich w ogóle, i grupę pośrednią, która uważa że takie tradycje istnieją, lecz nie są one ani wielkie, ani znaczne. Pierwsze nasze zadanie — to określenie jaka jest ta tradycja, jej rodzaj, charakter i jej wielkość; i drugi problem — czy ta tradycja jest jeszcze żywa, czy można do niej nawiązywać, czy może ona spełniać rolę inspirującą, czy też jest to już tradycja historycznie zamknięta, która może na rozważać jedynie w opracowaniach dokumentacyjnych, a która w sensie żywości właściwie już nie istnieje. To są dwa podstawowe problemy, które redakcja proponuje pod rozważanie i dyskusję.

R. KACZMAREK: Moje uwagi są następujące. W dalszym ciągu na terenie naszego miasta nie posiadamy w bibliotekach całości twórczości literackiej Łodzi, zarówno związanej z tematyką łódzką, jak i z twórczością pisarzy związanych z Łodzią. Biblioteka Waryńskiego zgromadziła poważne zbiory regionalne, nie może się ona jednak wykazać kompletem, podobnie i Biblioteka Uniwersytecka, która także gromadzi zbiory regionalne. I tu nakłada się chyba na bibliotekarzy obowiązek śledzenia, jeśli nie w pierwodrukach to przynajmniej w jakichś materiałach zastępczych całego dorobku. Stąd mój apel do pisarzy łódzkich, żeby myśleli o zabezpieczeniu dokumentacyjnym własnej twórczości nie tylko poprzez składanie tego u siebie w swoich własnych archiwach, lecz także poprzez przekazywanie do zbiorów Biblioteki Uniwersyteckiej lub do zbiorów Biblioteki im.

Waryńskiego, aby w ten sposób stworzyć badaczom jakieś istotne materiały do pracy twórczej. W prasie codziennej i w prasie literackiej powtarzamy ciągle kilka ustalonych faktów. Całe szczęście, że już dziś na studiach polonistycznych na naszym Uniwersytecie i nie tylko na naszym Uniwersytecie sięga się do tematyki łódzkiej. „Słownik Pisarzy Współczesnych” nie obejmuje wszystkich łódzkich twórców, a przecież wydawało się, że tak poważna instytucja zabezpieczy i nasze potrzeby. Druga sprawa: — trzeba sobie uzmysłowić, że w pierwszym okresie narastania tradycji literackiej w naszym mieście, właściwie tradycji tej nie stwarzali bodźcem, i podtrzymują ją również nie tożdzianie. Aby nie być gołosłownym, nawet ten pierwszy łódzki pieśniarz, słynny już dzisiaj Wiktor Dzięgielewski, który wydał poemat o Pawle Łódzi Kubowiczu w 1857 r., przybył właśnie spoza Łodzi, tu otrzymał posadę nauczyciela języka polskiego, uważał, że należy się temu miastu jakąś odwzajemnić i legendy, które zebrął w literackiej formie, nam przekazał. Wiele było to człowiek, który z Łodzią zupełnie przypadkowo się powiązał. Dalej warszawski literat Edward Lubowski; to on właśnie w roku 1881 napisał nowelkę pt. „Romeo w Łodzi”. I tu się właśnie zaczyna literatura z łódzką tematyką. Lubowski zamieścił swój utwór w piśmie bardzo wówczas nobilem i bardzo ciekawym, mianowicie w „Biesiadzie Literackiej”. „Biesiada Literacka” miała jakieś skłonności do naszego miasta; jeszcze przed tem w tej gazecie zamieszczono drobne reportaże o życiu gospodarczym Łodzi, a później dawano zdjęcia z wystaw.

Dalszy ciąg na str. 2

STEFAN SZPINGER

Październik w Moskwie

W Moskwie ulica reaguje spontanicznie na przewrót lutowy, ludząc się, że wkrótce nastąpi pokój, skończy się nędza mas pracujących. Jesteśmy świadkami strajków i demonstracji robotników największych zakładów przemysłowych. Robotnicy tworzą komitety fabryczne i organizują związki zawodowe. Żołnierze przeprowadzają demokratyzację armii. Jest to równoznaczne z wprowadzeniem do armii ducha rewolucyjnego. Żołnierze już nie wolno „tykać”, powstają pochodzące z wyboru komitety żołnierskie. Były to zmiany o olbrzymim znaczeniu, burzące dotychczasowe stosunki niewolnicze, panujące w skostniałej armii carskiej. Mieszkowcy i eserowie usiłują opanować rewolucyjne nastroje mas, jeszcze mają większość w Radach, mają kilku swoich ministrów i dążą do utrzymania burżuazyjnego rządu.

Bolszewicy, których radykalne hasła społeczne, a przede wszystkim żądanie aa

tychmiastowego zakończenia wojny, znajdują coraz większy posłuch w masach, pozbawieni są w pierwszym okresie po przewrocie lutowym swoich czołowych działaczy. Lenin przyjechał dopiero w kwietniu 1917 roku do Rosji, inni działacze powracają z więzień lub z zesłania.

Wszystkie te wiadomości przenikają do nas pocztą pantofflową, bo nikt z nas nie ma bezpośredniej styczności z ruchem robotniczym, a prasa, która pilnie czytujemy, jest w rękach burżuazji.

W naszym polskim środowisku ciągle jeszcze spokojnie, nie się nie dzieje. Sledzimy tylko rozwój wydarzeń, demonstracje, pochody, nie uczestniczymy w nich jednak.

A tymczasem „na froncie bez zmian”, trwa wojna pozycyjna i dopiero przystąpienie do wojny Stanów Zjednoczonych po stronie Ententy przekonuje nawet scepty-

ków, że losy Niemiec i Austrii są przesądzone.

Po ulicach Moskwy przewalają się tłumy, jedni idą do pracy, drudzy wyganiają z domu niepokój. Idąc w początkach września do księgarni, jestem świadkiem, jak na Wielkiej Łubiance trzej żołnierze zapewne „frontowicy” — widać to po ogoryczonych twarzach — zrywają epolety z ramion przechochodzącego oficera. Z zapartym tchem czekają na reakcję oficera. Boję się, że zrobi jakieś głupstwo, bo żołnierze mają karabiny gotowe do strzału. Jednak nie szczególnego się nie dzieje — oficer odchodzi błady. Pogłębia się bezpardonowa nienawiść klasowa.

Wypadki szybko dojrzwają. Dzień jest krótszy i wieczorem szybko zapada zmrok.

Dalszy ciąg na str. 4



Rozpoczęta w ubiegłym tygodniu XXII sesja Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych — w przekonanym części komentatorów zagranicznych — nie rokuje optymistycznych nadziei. Wprawdzie zgodnie z przewidywaniami nie było kłopotów z wyborem przewodniczącego sesji i 17 wiceprzewodniczących, wprawdzie nadal podtrzymuje się optymizm w sprawie układu o nieprolifacji, ale ani w problemie wietnamskim, ani bliskowschodnim nie zanosi się na zdecydowany postęp. Do takiego wniosku można dojść przede wszystkim po wystąpieniu stałego przedstawiciela Stanów Zjednoczonych w ONZ — Goldberga. Najpierw okrzyknął, że będzie to najważniejsze ze wszystkich jego przemówień, a potem okazało się, że USA, od których zależy, czy wojna wietnamska będzie się rozszerzać, czy też wkróczy w stadium polityczne — nie mają nic do powiedzenia.

Przepraszam — mają, ale to, co świat słyszał już dziesiątki razy, a co absolutnie nie znajduje pokrycia w faktach. A więc, że Stany Zjednoczone gotowe byłyby pójść na daleko idące kompromisy, i że o niczym innym nie myślą tylko o przywróceniu pokoju w Wietnamie. Jednocześnie jednak delegat USA mówił o zdecydowaniu Waszyngtonu kontynuowania pomocy dla reżimu sajsańskiego. Próbuje odpowiedzieć na powszechne żądanie, aby USA wstrzymały ataki lotnicze na Demokratyczną Republikę Wietnamu — Goldberg powtórzył formułę o gwarantach strony przeciwej, czyli po prostu żądania te odrzucił.

Ta część wystąpienia niemal przez wszystkich komentatorów oceniona została jako potwierdzenie dotychczasowej polityki Waszyngtonu wobec Wietnamu.

„Amerykańska deklaracja w Zgromadzeniu Ogólnym — pisał „New York Times” — była redagowana i przedawana przez wiele tygodni. Gdy Departament Stanu skończył tę czynność nie pozostała żadna nowa idea w sprawie osiągnięcia pokoju”.

Również i w części, dotyczącej drugiego zapalnego rejonu — Bliskiego Wschodu, nie padło z ust amerykańskiego delegata żadne nowe słowo. Z jego wystąpienia można wyciągnąć tylko tyle, że „obie strony muszą wykazać wolę osiągnięcia politycznego rozwiązania kryzysu” i że USA nadal popiera państwo Izrael.

Temu stanowisku Waszyngtonu, nie prowadzącemu do pokoju ani w Wietnamie ani na Bliskim Wschodzie — przeciwstawił stanowisko radzieckie min. Gromyko.

W pierwszej kwestii stwierdził on, że „pokoju w Wietnamie może być przyporządkowany tylko po wycofaniu się agresorów”, w drugiej — domagał się odwołania wojsk izraelskich na pozycje sprzed agresji, rekompensaty za szkody materialne dla ZRA, Syrii i Jordani, a także opuszczenia jordanjskiej części Jeruzolimy. Jeśli w tej ostatniej sprawie Izrael nie zastosuje się do uchwały ONZ — Rada Bezpieczeństwa będzie musiała podjąć przeciwko niemu sankcje, w realizacji których ZSRR gotowy jest wziąć udział.

W odróżnieniu od Goldberga min. Gromyko poświęcił duży fragment swego przemówienia także zagadnieniu bezpieczeństwa europejskiego, przedstawił do rozpatrzenia sesji ONZ projekt konwencji o zakazie stosowania broni nuklearnej oraz sprawę zdefiniowania pojęcia agresji.

Jak już powiedziałem na wstępie, zdaniem licznych obserwatorów, sesja nie znajdzie rozwiązania dla najpilniejszych obecnie problemów: wietnamskiego i bliskowschodniego. Nadzieje natomiast wiąże się z dwiema wielostronnymi rozmowami, jakie odbywać się będą w kulturalnych ONZ. M. in. oczekuje się spotkania Gromyki z Ruskim.

Z inicjatywą rozmowy z ministrami spraw zagranicznych Związku Radzieckiego, Stanów Zjednoczonych, W. Brytanii i Francji wystąpił sekretarz generalny ONZ. Propozycja została przyjęta. U Thant zamierza podobno w toku tych rozmów uzgodnić zwołanie Rady Bezpieczeństwa, w porządku dziennym której znajdzie się z pewnością także Bliski Wschód.

Warto przypomnieć, że tego rodzaju spotkania nie było od 1965 roku. Tym większe wzbudza ono zainteresowanie i rodzi różnorodne domysły. Czy rzeczywiście, jak przewidują niektórzy, uda się w tym gronie zbliżyć poglądy — przekonamy się w najbliższych dniach.

A teraz przenieśmy się do Afryki, gdzie w stolicy Konga — Kinszasie przed kilku dniami zakończyła się IV konferencja Organizacji Jedności Afrykańskiej. Z 38 państw członkowskich tej organizacji — brali udział delegaci 37 krajów (nie była reprezentowana Malawia), w tym 18 szefów rządów.

Najważniejszym jednak aktem politycznym konferencji było zdeklarowanie się jej uczestników po stronie krajów arabskich. Ma to szczególne znaczenie z uwagi na sesję ONZ i praktycznie oznacza 37 głosów afrykańskich przeciwko zabiorowi ziem arabskich przez Izrael.

Swego czasu pisałem na tym miejscu o przygotowaniach do tej konferencji i zabiegach Konga, aby odbyła się ona w jego stolicy. Miała to być forma pojednania Konga z pozostałymi krajami afrykańskimi, które od czasu zamordowania Lumumbi odnosiły się do tego kraju z wielką rezerwą. Jak widać — pojednanie to doszło do skutku...

W. SŁAWSKI

O tradycjach literackich

Dalszy ciąg ze str. 1

Po Lubowskim przychodzi, według mego zdania, bardzo ciekawa postać, niespopularyzowana wśród łódzian. Była to Waleria Marenné Morzkowska. Była publicystką, była krytykiem teatralnym, krytykiem literackim, walczyła o równouprawnienie kobiet, miała mocną pozycję w ruchu feministycznym, w studiach historycznych o Polu, o Lenartowiczu, o Mickiewiczu. W r. 1890 na łamach „Biesiady Literackiej” Waleria Morzkowska umieściła odcinkami swoją powieść o Łodzi pt. „Wśród kakolu”, z podtytułem „Z życia łódzkiej przemysłowości”. Wyprzedziła więc pani Waleria i Kosiakiewicz, i Reymonta, Głowackiego, Bartkiewicza i Pawliaka, i innych, którzy potem przyszli. Chciałem zwrócić uwagę, że te powieści należałyby wydobyć z zapomnienia. Wnoszę, że współcześni nie cenili tej powieści, skoro nie wydali jej oddzielnie. Pozostała jedynie w całym roczniku 1890 „Biesiady”; w każdym razie odbiera ona prymat i Kosiakiewiczowi i Reymontowi. Od tego czasu zaczyna się jakaś passa na Łódź, przychodzi Kosiakiewicz ze swą słynną powieścią „Bawelna”, którą wydaje w Petersburgu w 1895 r. w niedużym nakładzie, stąd chyba ta książka po Królestwie Polskim za bardzo się nie rozeszła, bo np. w bibliotekach naszego miasta nie ma ani jednego egzemplarza. Książka ta jest ogromną rzadkością, jest tylko w Łodzi w prywatnym posiadaniu.

J. HUSZCZA: Kiedy po raz pierwszy ukazała się w Łodzi, tzn. łódzkim nakładem pierwsza książka, należąca do literatury pięknej?

R. KACZMAREK: Jeśli chodzi o drukarstwo łódzkie w ogóle, jest ono młode, bo i samo miasto w sensie społecznym jest również młode. Stąd pierwszy zarejestrowany druk dotyczący Łodzi, który nie ukazał się jednak w Łodzi, pochodzi z 1846 roku. Pierwszy druk typu beletrystycznego ukazuje się w 1865 r., wydany w języku niemieckim przez Łódzką Szkołę Realną, która wydawała również sprawozdania, bardzo modne wówczas w szkołach, i tam właśnie znajduje się pierwsze opowiadanie „Z dziejów Syberii” w języku niemieckim autora Berga, ówczesnego dyrektora gimnazjum. Łódź jest chyba pierwszym polskim miastem, które doczekało się swojej bibliografii druków. W r. 1899, może nawet trochę wcześniej, na terenie Łodzi odbywał praktykę młody adwokat Maksymilian Baruch, pabianieczanin z pochodzenia, późniejszy były wybitny historyk Warszawy. Nie mając żadnego warsztatu (nie było wówczas w Łodzi żadnej biblioteki publicznej), zabrał się do szperackiej roboty i w 1896 r. ogłosił w Łodzi rzadkość ogromną — słynny „Spis druków łódzkich”; pierwsza bibliografia Łodzi a jednocześnie pierwsza bibliografia miast w Polsce. Było już co spisywać, rejestrowano mianowicie m. in. druki wydawane przy sposobności publikowania różnych nowel, opowiadań, eseistyk w prasie łódzkiej, głównie w „Dzienniku Łódzkim” (1884—1892). Ale głównie bibliografia była wypełniona na sprawozdaniach, regulaminami, statutami, były to wówczas bardzo modne i potrzebne w łódzkim przemysle wydawnictwa. Księgarzem i wydawcą, który zaczął na półki księgarnie wchodzić z beletrystyką, był łódzki księgarz Cezar Richter, aczkolwiek niemieckiego pochodzenia, ożenił się z Polką i zupełnie się spolonizował. W tym dziwnym mieście wydawał on różne kalendarze, m. in. słynnego „Łódzianina” i „Łódziankę”; w kalendarzach tych łódzcy i pozalódzcy literaci zamieszczali swoje utwory. Przypomnieć trzeba epizodyczny noby w Łodzi poety o bardzo lekkim piórze, który wydał antologię poezji na temat „Kocham i cierpię”, dziennikarza warszawskiego Bolesława Londyńskiego. Zorganizował on w Łodzi pierwsze kolportaż gazet i ośrodek prasowy, parał się również literaturą z różnym powodzeniem.

M. PIECHAŁ: Co nazywamy tradycją? Co nazywamy dorobkiem? Tradycja to te elementy z przeszłości, które są żywymi włókniwami współczesnej konstanty, współczesnych inżynierów twórczych Łodzi, tak mi się przynajmniej wydaje. Dlatego nie walczyłbym do tradycji Łodzi wszystkich powieści pisanych o Łodzi. Czytałem w tej chwili książkę Johanna Bobrowskiego — Niemca, który opisał wieś Małki pod Brodną i tamten czarujący, choć zniechęcony kraj (jest to powieść z końca XIX wieku). Znajdujemy w tym utworze bardzo realne i prawdziwe opisy panujących wówczas stosunków między Polakami i Niemcami. I tu rodzi się pytanie, czy zaliczyć do książki do tradycji tamtych ziem, do tradycji literatury, która traktuje o ziemiach polskich? Należy podjąć selekcję wszystkiego co jest napisane, zamierzone i wykonane. Powiedziałbym, że tradycja to są te elementy z przeszłości, które intensyfikują nasze przeżycia, wzmagają i ożywiają twórczość kulturalną. Dlatego tradycje łódzka widzę bardzo szczerą. Zjawiskiem dużej miary jest bez wątpienia zjawisko Juliana

Tuwima, który jednak bardzo nieznacznie wchodzi w zakres tradycji łódzkiej. Natomiast takie zjawisko jak Wandurski (pomijam tutaj skalę talentów) dla tradycji kulturalnej Łodzi jest o wiele ważniejsze, chociaż zewnętrznie rzecz biorąc jest i ulica imienia Tuwima i pomnik Tuwima, a Wandurski nie ma nawet swojej ulicy. Musimy patrzeć na dorobek łódzki z tego punktu widzenia, na czym możemy się jeszcze oprzeć, co można kontynuować, a czemu należy się przeciwstawić. Ten drugi okres uważam właściwie za bardziej twórczy. Kulturowa Wandurskiego czy przeciwstawienie mu się i stworzenie, ale z równą siłą, stworzenie czegoś nowego. Wydobyć nowego dopełniającego elementu. Z takiego założenia wychodzić trzeba stwierdzić, że tradycja Łodzi jest bardzo szczupła. Nie jest ważne, czy ktoś urodził się w Łodzi czy nie. Ważne, czy Łódź bulwersowała go twórczo. Ten, kto wniósł rzeczywiste wartości w jej życie, rozszerzył je, przybliżył do ogólnego poziomu polskiego czy europejskiego, ten jest w tej tradycji. Niewątpliwie do tak pojętej tradycji należy Strzeżmiński, z żyjących Konstanty Mackiewicz, ale do takiej tradycji nie należy np. Artur Rubinstein ani Tadeusz Miciński. Dwaj ostatni urodzili się w Łodzi, ale ich twórczość nie ma z Łodzią nic wspólnego. Według mnie tak właśnie należy widzieć problem tradycji.

H. KARWACKA: Wandurski należy do tradycji łódzkiej, ponieważ był twórcą, organizatorem teatru, działaczem, a nie anizeli Tuwim. Tuwim z doświadczeń swojego dzieciństwa, wczesnej młodości którą spędził w Łodzi, nie wyprowadził wszystkich konsekwencji. Nie jest to moja opinia, tak mówią na ten temat krytycy, m. in. tak pisze o tym Sandauer. A więc z tych doświadczeń nie zdołał Tuwim wyciągnąć wszystkich konsekwencji. Natomiast konsekwencje te wyciągnął Wandurski, który swoją działalność, swoją twórczość podporządkował potrzebom Łodzi i związał się silnie z terenem i środowiskiem. Zgadzałem się z oceną skali jego talentu, nie był to poeta dużej miary. Ale był to człowiek energiczny, pełen koncepcji, inwencji, miał szereg ciekawych pomysłów, jeśli chodzi o sprawy teatralne, był to twórca bardzo z terenem związany i do tradycji łódzkiej przynależny. Uważam, że trzeba by zbadać twórczość wielu innych pisarzy i poetów, związanych z Łodzią i pracujących tutaj. Teraz pozwolę sobie nawrócić do wypowiedzi p. dyr. Kaczmarka, który mówił, że baza badawcza jest bardzo skromna, że brak kompletnych druków, wydawnictw, czasopism. Tłumaczy to trochę kłopoty i opóźnienia badawcze. Bo jeszcze niewiele zbadano z dziedziny kultury Łodzi. Mamy trochę studiów, sporo artykułów, ale o charakterze przyręcznikarskim, wyrzykowy. Są to często bardzo interesujące rozprawy, brak jednak w dalszym ciągu syntez ogólniejszej oceny zjawisk kultury w ogóle i kultury literackiej, kultury teatralnej w Łodzi. Najprawdopodobniej w przeciągu najbliższych lat sytuacja ta w Łodzi się zmieni, gdyż jak wiadomo szereg instytucji naukowych i badaczy indywidualnych pracuje nad tymi zagadnieniami. Myślę, że za jakiś czas próba oceny tradycji kulturalnych Łodzi będzie łatwiejsza, dzisiaj wiele wniosków ma jeszcze charakter hipotez. Wiadomo, że prowadzone są badania nad kulturą muzyczną przez docenta Błaszczyka, wiadomo, że prowadzi się badania nad teatrem łódzkim pod kierownictwem prof. Stefani Skwarczyńskiej, co nieco robi się, jeśli chodzi o tradycje literackie, w Katedrze Historii Literatury. Warto by ocenić dorobek kulturalny Łodzi nie w odniesieniu do Warszawy czy Krakowa — starych, dawnych ośrodków kulturalnych, ale np. w odniesieniu do młodych, przemysłowych miast o bardzo złożonym składzie społecznym, politycznym i narodowościowym. Czy z terenu Polski dałoby się znaleźć takie miasto, które można byłoby porównać, np. Katowice?

J. KOPROWSKI: Boję się, że takie porównanie wypadłoby na niekorzyść Łodzi. Tradycje śląskie są bardzo silne.

M. PIECHAŁ: W początkach tradycji kulturalnych Łodzi główny akcent nie spoczywa bynajmniej na twórcach, lecz na działaczach społecznych. Stąd potem typ literata, artysty łódzkiego, który jest jednocześnie działaczem społecznym, jak np. Władysław Strzeżmiński, a w pewnej mierze również prof. Stefania Skwarczyńska. U progu tradycji kulturalnych Łodzi stoi działacz. Dlatego do sprawy tradycji należy podejść kompleksowo, nie wyodrębniając elementów plastycznych, muzycznych i literackich, lecz rozpatrując je w pewnym kontekście społecznym. Taki przykład działania grupy dał nasz „Meteor”. Działaliśmy w połączeniu z twórcami i działaczami innych dziedzin — z Augustyniakami, prof. Jakubowskim, Czapeckim, prof. Skwarczyńską, a z młodszych z Ajnenkielewiczem i Romanem Kacmarkiem. Czegoś podobnego w innych miastach nie było. Znakomita większość literatów w innych miastach stroni od społeczeństwa. W Łodzi nie spotka się wybitniejszego pisarza, który by nie był jednocześnie działaczem społecznym.

Jeśli „masowe organizacje antyrewolucyjne będą kontynuować opór i nie zechcą zrezygnować z walki”

■ Zastępca rzecznika rządowego w Bonn poinformował dziennikarzy. Ze kanclerz Kiesinger zamierza wystosować list do prezydenta de Gaulle'a w związku z wypowiedziami generała podczas pobytu w Polsce. Chodzi zwłaszcza o określenie polskiego ze wszystkich polskich miast.

■ Związek Radziecki wyraził zgodę na dostarczenie Kube reaktora atomowego w ramach nowego układu naukowego. ZSRR zaopatrzy również Kube w laboratorium nuklearne, izotopowe oraz laboratorium reaktorów.

■ Za granicą głównie w krajach Europy zachodniej.

■ Były narzeczony dowódcy sił NATO w Europie generał

Tkronika TYGODNIA

■ W sprawozdaniu jednej z podkomisji Kongresu amerykańskiego ogłoszono, że w lotnictwie wojskowym USA od czasu gdy brak 12,5 tys. pilotów. Niedobór ten wpływa na strat ponoszonych w Wietnamie oraz coraz częstszych rezygnacji pilotów wojskowych. O ile w 1964 roku rezygnację zgłosiło 861 pilotów, o tyle w roku administracyjnym 1966/67 2434 pilotów wojskowych.

■ AFP informuje z Moskwy o wystosowaniu przez Związek Radziecki zaproszenia do przywódców chińskich na obchody 50-letniej Rewolucji Październikowej w dniu 7 listopada.

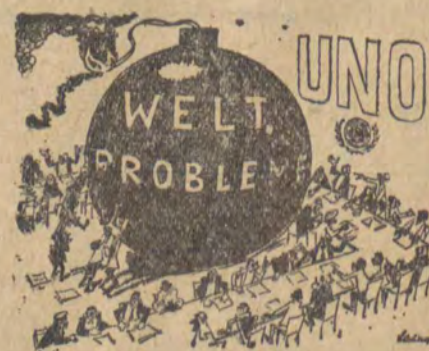
■ Wojna izraelsko-arabska wywołała rozdziewięć w rodzinie słynnego skrzypcy Yehudi Menuhina. Ojciec muzyka, 74-letni Mosze Menuhin oświadczył, że nie będzie obecny w przyszłości na żadnym koncercie swego syna, który ostatnio występował na koncertach w Kalifornii, przeznaczając uzyskane dochody na zbiorczą na fundusz pomocy dla Izraela. Mosze Menuhin, który określa siebie jako „Żyda, liberała i humanistę” wyraża ubolewanie z powodu nacjonalizmu żydowskiego, syjonizmu i roli Izraela

cia w ostatniej wojnie. „W okresie od 5 do 10 czerwca nie zapałem ani chwili spokoju. Czulem wstręt do tej niezwykłej cywilizacji, z którą byłem tak dumny”.

■ Fidel Castro: „Jestem przeciwny bodźcom materialnym, gdyż uważam je za sprzeczne z socjalizmem. W społeczeństwie, które właśnie tworzymy zapal człowieka do pracy nie powinien zależeć od większej lub mniejszej płacy, która mu się oferuje... Pieniądz pozostaje w centrum polityki społecznej Chińczyków, którzy opierają się na egalitaryzmie, jak również w centrum polityki ZSRR, która rozwija zróżnicowanie dochodów. My natomiast pragniemy zdekonizować pieniądze zamiast go rehabilitować. Zamierzamy nawet zupełnie go zmieść”.

■ Minister obrony USA McNamara potwierdził w przemówieniu wygłoszonym w San Francisco, że Stany Zjednoczone zamierzają jeszcze w tym roku przystąpić do rozbudowy kosztów około 5 miliardów dolarów, systemu obrony przeciwrakietowej o ograniczonym zasięgu.

■ KC KPCh wydał zezwolenie armii chińskiej na otwieranie ognia w wypadku,



Oni mówią i mówią, i mówią...

(Die Welt)

i kulturalnych Łodzi

J. HUSZCZA: Po przyjeździe do Łodzi starałem się z tym zupełnie dla mnie nowym miastem zapoznać. I od strony przeszłości literackiej tego miasta. M. in. pomocny był dla mnie Ludwik Stolarzewicz z tą swoją może niezbyt fortuną, ale jak dotąd jedyną antologią literatury łódzkiej. Traktowałem to jednak jako przeszłość. Tu jest bardzo trudny problem wyspecyfikowania sobie tematyki — mam na myśli wyłącznie dorobek literacki, bądź wychodzący spod piór ludzi tak czy inaczej związanych z tym miastem. Bo zetknąłem się z wierszami, które były tzw. poezją pracy, wiersze te wydawały mi się nie do kontynuowania.

Bardzo trudno wyspecyfikować sobie temat w tym sensie: co jest wyłącznie historią literatury łódzkiej lub materiałów dla bibliografii, a co jest właśnie tą żywą tradycją. Żywa tradycja to jest taka tradycja, która już istnieje w krwiobiegu, której działania my już nie zauważamy. Ona weszła na trwałe, została wessana.

Pisarze łódzcy bliżej byli „Skamandrowi” niż awangardzie. Po wojnie kontynuowali, oczywiście, siebie. Nie bez owocnych jednak modyfikacji, jak w wypadku Mariana Piechala, a mam na myśli piękny tom wierszy „Punkt oparcia”. Natomiast nigdy się nie zetknąłem z tym, by ktoś w jakiejś książce, czy w recenzji kogoś chwalił lub ganił za to, że w jego utworach widoczne są wpływy wymienionego chociażby przez mnie pisarza. To samo można by chyba powiedzieć o Wandurskim, może mniej o Broniewskim, który wszedł do historii literatury łódzkiej jednym tylko, ale za to świetnym wierszem „Łódź”. Dlaczego tak się stało? Dlatego, że wojna dla pewnych spraw stała się cezura. Po wojnie w Łodzi zjawili się zupełnie nowi ludzie, którzy zaczęli pracować nad jakimś programem działania literackiego, była to przede wszystkim „Kuznica”, potem nadszedł okres socrealizmu, dość obcy tradycjom literatury polskiej w ogóle, a jeśli nie obcy, to nawiązujący do zjawisk przed wojną nie bardzo się liczących. Z kolei widzimy bardzo piękny rozwój środowiska i twórczości literackiej w tym mieście, mam na myśli zwłaszcza inwazję poetów. W tej chwili jesteśmy chyba w najlepszej z istniejących dotąd sytuacji w dziejach literatury łódzkiej. Na wyniki badań naukowych — jak powiedziała p. Karwacka — trzeba trochę czekać. Natomiast wskazywane byłoby, żeby podjęto na początek wydanie Antologii Łódzkiej, pokazującej może temat łódzki w literaturze od samych jej początków. Niektórych pisarzy trzeba by przypomnieć osobno. Mam tu na myśli Głiszczyńskiego, którego sam sygnalizowałem w „Kronice”, i Mieczysława Brauna. Moim zdaniem twórczość dwóch tych ludzi wymaga oddzielenia tomików.

J. KOPROWSKI: Nieznajomość, albo powierzchowna znajomość tradycji łódzkiej wynika z tego, że wszystko to leży jeszcze odległym, nie ma dostępu, nawet do tych dokumentów literackich, które kiedyś powstały.

J. HUSZCZA: Należy postuliować jakąś książkę w rodzaju „Upamiętnienia” Ludwika Stolarzewicza.

M. PIECHAŁ: Specyfika łódzkiej literatury czy łódzkiego malarstwa, było zawsze wiązanie się z działalnością społeczną. Grupa Strzeżnińskiego to nie była tylko grupa samych artystów.

Praktyczna strona działalności tej grupy było stworzenie muzeum sztuki nowoczesnej. Mój tomik „Miasto nadziei” jest próbą łączenia tych wszystkich sił, które się składały w tym czasie na twórczość kulturalną. Mówiąc o Jastruniu, o jego do robku łódzkiego, o jego udziale w tamtym dwudziestolecu (przez 10 lat), nie sposób oderwać go od postaci Hillera, z którym się przyjaźnił, od postaci prof. Skwarczyńskiej, od nas w „Meteorze”, od Brauna, Broniewski, który jest autorem jednego tylko, ale ważnego wiersza o Łodzi, w moim mniemaniu łączy się z Wandurskim, mówiąc o Wandurskim nie można nie mówić o Broniewskim.

J. HUSZCZA: Można stąd wyciągnąć inny jeszcze wniosek — że jeśli artyści czy pisarze stawali się jednocześnie działaczami, to był to teren zawsze trudny. Trzeba go było ciągle zdobywać na nowo, podobna sytuacja istnieje nadal.

R. KACZMAREK: Chciałem zwrócić uwagę, że np. popularny w Łodzi gruby Hertz, tj. Mieczysław Hertz — dyrektor Izby Przemysłowo-Handlowej — ekonomista i finansowiec, jeden z rekinów przemysłowych właściwie, na konkurs dramatyczny im. Sienkiewicza zgłosił swój dramat „Ananke”, który został poważnie wyróżniony i później wystawiony na scenie łódzkiej. Napisał także bardzo interesującą pracę o Łodzi w okresie wojny światowej. A więc był to przemysłowiec-działacz i jednocześnie „artysta” i „uczony”. W tym samym czasie dyrektor Łódzkiego Towarzystwa Kredytowego, Leon Gajewicz, jest nie tylko świetnym publicystą, ale pisze poezje, wydaje cały tomik

wierszy „Triolety”. Artur Głiszczyński, nim stał się autorem tomików poezji, przedtem był organizatorem ruchu robotniczego w Łodzi. On właśnie tworzy, obok innych, Związek Robotników Polskich, tkwi w proletariacie, był wreszcie kasjerem na stacji Łódź — Fabryczna. W tym samym czasie przebywał w mieście znakomity kaznodzieja, ksiądz Antoni Szandlerowski, jednocześnie autor rozpraw naukowych, dramatów, tomów poezji, wystawiał swoje dramaty również na scenie teatru łódzkiego. To są jakieś niebywale zjawiska. Był również Zygmunt Lorentz, nauczyciel, jednocześnie znakomity publicysta, organizator życia kulturalnego i naukowego Łodzi. Działalność księgarza Włodzimierza Pfeiffera, który nie tylko świetnie prowadził firmę Ludwika Fisera, i liczne regionalne wydawnictwa, ale także parał się publicystyką, był esperantystą, grupował literatów wokół siebie. Jego księgarnia była więc warsztatem twórczym, inspiracyjnym dla niejednego ówczesnego pisarza. W ten sam mniej więcej sposób przedstawia się życie naukowe naszego miasta, które poza tylko bardzo ogólnymi stwierdzeniami, nie zostało jeszcze opracowane. Wracając do tego zacieśnienia pojęcia tradycji kulturalnych, staje pytanie, czy stać już nas na taką petyfikację. Przecież nie ma miesiąca, żeby Kraków nie uzyskał nowej pozycji wydawniczej — to są miasta, które przecież mają już ustalone pozycje historyczne czy kulturalne w kraju, a mimo to wszystko, co mogą wyciągać, pokazują, jako swój dorobek. Sądzę, że my najpierw musimy również to samo zrobić. Wzrósł musza przysięść prace typu monograficznego, prace przyczynkarskie, materiały źródłowe, bowiem całe dziedziny twórcze są jeszcze nie znane, nie opracowane. Niemal nic nie robia w tym kierunku plastycy łódzcy. O swojej przeszłości niewiele wiedzą. O tym, że na przełomie XIX i XX wieku zaczyna się rodzic cyganeria łódzka wokół salonu wystawczego Zygmunta Bartkiewicza i jego małżonki, późniejszej artystki, Mieczysławy Cwiklińskiej; że wtedy powstaje pierwszy salon literacki i artystyczny, że tutaj działa wtedy M. Trebac, Hirszenberg; że jest tu cała galeria publicystów i dziennikarzy, którzy się na tym terenie zjawiają, organizują się wokół salonu artystycznego Bartkiewiczów; że wtedy teatr zaczyna żyć i pracować; że znów pojawia się taka fantastyczna postać jak Fryderyk Sellin, który był kupcem. Dochód, jaki zdobywał przeznaczal na swoją pasję — na budowę teatru. Powstał pierwszy taki teatr wielki z mecenatu zupełnie prywatnego. Wybudował on teatr na 1200 osób. W tym czasie buduje także Teatr Letni i Teatr Dramatyczny — wszystkie trzy sceny w jednym okresie. Na otwarcie teatru zaprosił H. Sienkiewicza, H. Sienkiewicz i wielu wspaniałych twórców polskiej. Było to wielkie święto kultury polskiej o progu XX stulecia.

M. PIECHAŁ: To zależy również od samych pisarzy, artystów czy naukowców-badaczy. Niestety, wśród naukowców — mam na myśli łódzką humanistykę, bo na innych dziedzinach się nie znam — mało jest jeszcze zainteresowania sprawami Łodzi. Ukazało się kilka ciekawych pozycji St. Kaszyńskiego, Stefani Skwarczyńskiej o Schillerze, pozycje te należy skwitować z szacunkiem i uznaniem. Natomiast inne działy historii literatury, plastyki — jakoś odwołuję. Kiedyś jeden z profesorów oświadczył mi, że „Bóg go obronił od zajmowania się literaturą łódzką”, bo on siedział w XVII i XVIII wieku. W takim razie można się tym zajmować również w Warszawie, Krakowie, Sorbonie Paryskiej, po co w tym celu siedzieć w Łodzi! Warszawskiego profesora obchodziło wszystko aż do Grochowiaka włącznie. Natomiast profesora łódzkiego nie obchodził łódzki literaci. Łódź jest świeżym miastem — dla humanisty wielka szansa.

R. KACZMAREK: Twórczość prof. S. Skwarczyńskiej na świecie nie jest znana dlatego, że napisała tylko rozprawę o teatrze Schillera czy adaptacjach „Nieboskiej” tylko dlatego, że jest redaktorem wspomnianego pisma, jednego na całym świecie, myśle o kwartalniku, poświęconym zagadnieniom rodzajów literackich. Jeśli chodzi o środowisko przyrodnicze — myśle o prof. Janie Dyliku. Człowiek, który wyrósł z tego miasta, który poświęcił swoją pierwszą pracę Łodzi, a dzisiaj jest najlepszym znawcą epoki zmarł na naszel kuli ziemskiej, jest redaktorem jednego czasopisma w skali światowej, „Biuletynu Peryglajnego”. Takich ludzi nam potrzeba. Łódź stwarza dobre warunki dla twórczej pracy i gromadzi również własne tradycje naukowe, literackie i artystyczne.

J. KOPROWSKI: Do poruszonej tutaj problemu powróćmy jeszcze nieraz na łamach „Odgłosów”. Dziękuję Państwu za udział i cenne wypowiedzi w dyskusji.

■ Liczba bezrobotnych w połowie września br. w W. Brytanii szacowana była na 555 tysięcy osób.

■ Chiny wznowiły dostawy żywności do Hong-Kongu. Po czwarty od czerwca tego roku dostawy żywności z Chin uległy poważnym zakłóceniom i w zasadzie w ciągu ostatnich tygodni zostały prawie całkowicie wstrzymane.

■ Były wiceprezydent USA Richard Nixon wypowiedział opinię, że po doświadczeniach wojny wietnamskiej zdolność USA do odgrywania roli żandarma światowego jest mniejsza. Wielu Amerykanów, „znudzonych wojną, zniechęconych do sojuszników, rozczarowanych otrzymanym pomocą, obawiających się kryzysów domowych, staje się zwolennikami nowego izolacjonizmu”.

■ Bułgaria jest od dwóch

lat eksporterem pszenicy. W 1966 roku nadwyżka produkcji pszenicy ponad potrzeby wewnętrzne kraju wyniosła 480 tysięcy ton, w bieżącym roku zaś nadwyżkę te szacuje się na 650-700 tysięcy ton. Rolnictwo bułgarskie zamierza wyprodukować w 1968 roku 34,5 kwintala pszenicy z 1 ha.

■ W piątym co do wielkości mieście Stanów Zjednoczonych Detroit (1,8 miliona mieszkańców) przeprowadzono ankietę, z której wynika, że prezydent John Kennedy znalazł się na pierwszym miejscu wśród ludzi uznanych za najbardziej postraszających w świecie. Na drugim miejscu znalazł się Franklin D. Roosevelt. Prezydent Johnson zajął dalekie miejsce. Tylko 5 proc. uznało go za najbardziej przerażającego człowieka w świecie.



(Süddeutsche Zeitung)

Nożycami przez PRASĘ

NIE ŚRODEK, ALE CEL

Wrzesniowy numer „Miejsca literackiego” przy nosi obszerną dyskusję przedstawicieli różnych środowisk naukowych na temat zależności między działalnością gospodarczą państwa socjalistycznego a polityką społeczną.

Zasadniczy ton wypowiedzi jest wymierzony przeciwko absolutyzowaniu czy wyodrębnianiu interesu ekonomicznego, choć tylko rozsądna ekonomika może stać się skuteczną polityką społeczną. Mówi m. in. dr Kieckowski: „Celem działalności ustrojowej jest człowiek jako taki, a nie tylko kształtowanie człowieka jako środka w rozwoju gospodarczym”. Niestety, możemy przytoczyć jedynie parę przykładów z tej potrzebnej i żywej dyskusji.

Nie przestrzegając porządku wypowiedzi, zaczynamy od uwag prof. Szczepańskiego, który charakteryzuje pewne elementy sytuacji socjalnej:

Nie będąc ekonomistą niewiele mam do powiedzenia o ekonomicznych aspektach zależności między polityką społeczną a polityką gospodarczą. Chciałbym jednak mocno podkreślić niektóre wątki myśli prof. Suchodolskiego, wskazującego na ekonomiczną doniosłość wielu zagadnień socjalnych. Nie ma tu doc. A. Rajkiewicza i dlatego pozwól sobie zażywać niektóre podawane przez niego liczby na konferencji Towarzystwa Wolnej Wszelchnicy Polskiej, pokazujące dobitnie konsekwencje braku ustalonej polityki socjalnej.

Mianowicie doc. Rajkiewicz mówił tam o tym, że mamy w Polsce aktualnie ok. 700.000 rodzin bez własnych mieszkań, ok. 500.000 uczniów i studentów dojeżdżających codziennie do szkoły, ok. 1.500.000 pracowników dojeżdżających codziennie do pracy. Ponadto według ustaleń Komitetu Przeciwdziałania alkoholizmowi, ok. 400 do 600.000 alkoholików wymaga leczenia i ok. 500.000 nieludzi na progu stanu wymagającego leczenia. Od siebie dodam jeszcze głośnie alarmujące liczby: 2-3 proc. wszystkich dzieci w Polsce jest umiarkowanie upośledzonych, a więc niezdolnych do normalnej nauki, a ok. 10 proc. — umiarkowanie upośledzonych, a więc niezdolnych do ukończenia szkoły podstawowej i wyuczenia się zawodu. Z nich rekrutuje się armia robotników niewykwalifikowanych, będących szczególnie nym ciężarem dla naszej gospodarki.

Dr Danecki: Punktem wyjścia jest oczywiście stwierdzenie, że socjalizm winien zapewnić równoległość postępu techniczno-ekonomicznego, społecznego i moralno-intelektualnego. Stopień realizacji tego postulatu staje się współcześnie legitymacją socjalizmu, tak jak niegdyś było nia przedewszystkim wydobycie się z gospodarczego zacofania. Oczywiście, wzrost potencjału materialno-technicznego pozostaje warunkiem wstępnym dalszego rozwoju socjalizmu.

Prof. Mine:

Z punktu widzenia teoretycznego przeciwstawienie polityki ekonomicznej polityce społecznej jest z gruntu niesłuszne. W rzeczywistości jest tylko jedna polityka: polityka społeczno-ekonomiczna. W państwie socjalistycznym taka polityka powinna być jednolita. Jednakże w przeszłości rzeczywiście doszło do pewnej przeciwstawności między założeniami gospodarczymi a założeniami społecznymi. Wniósł to z tego, że założenia gospodarcze pojmowane były w sposób bardzo jednostronny.

Doc. Rosner konkretnie występuje przeciwko sytuacji, w której np. inżynierowie zarabiają więcej niż nauczyciele.

Prof. Mine konkluduje:

Trzeba stwierdzić, że usługi niematerialne nie wpływają bezpośrednio na wytworzenie się dochodu narodowego w jakimś określonym okresie, ale stanowią niezbędny warunek wzrostu dochodu narodowego w przyszłości, a na dochód narodowy danego okresu wpływają pośrednio, stwarzając warunki dla wzrostu wydajności pracy zatrudnionych w produkcji materialnej.

„Pojęcia „inwestycje produkcyjne” i „inwestycje nieprodukcyjne” są umowne, gdyż tzw. inwestycje nieprodukcyjne służą dla zaspokojenia ważnych potrzeb i stanowią warunek wzrostu dochodu narodowego.

PIEKŁO ROZWIEDZONYCH

Chodzi o prawnie rozwiedzionych, ale nadal korzy stających z tej samej przetrziny mieszkanki. Rozwódca się, a nie rozchódz. Ponieważ są oni ludźmi związanymi ze sobą przeszłością, ich życie towarzyszące często przypomina dramatyczne napięcie. Złazszcza gdy pojawia się ta trzęsica. Podobnie wygląda to zarówno w środowiskach z magistratami, jak i w środowiskach ludzi bez średniego wykształcenia.

Zofia Ols (Życie Literackie”) przeprowadziła kilka rozmów na terenie Krakowa. Mówi funkcjonalistę pogotowia milicyjnego:

— Dorosłych to człowiekowi nie jest już tak żal: ja myślę, że jak dwoje ludzi miało się rozwieść, to znaczy, że zawaliły obie strony. Może w różnym stopniu, ale zawsze — obie. Dzieci to mi żal. Nie nie zawiniły, a najcięższą pracę, ile miały, to napastry na takie właśnie tragedie.

W naszym mieście w ubiegłym roku było 2500 rozwodów. Ładny gips! Przynałmniej 80 proc. z tego będzie dalej mieszkać razem, a ci to już w 100 procentach nasi potencjalni klienci. Nawet jeśli do rozwodu bez nas się obywały.

Z eksmisją jednego z byłych współmałżonków jest bardzo trudno. Ze względu na to, że wzięli, ale i faktycznie. Jaka na to rada? Działaczka Ligi Kobiet opowiada o rozmowach, przeprowadzonych na ten temat z kobietami w Jugosławii.

— „Opowiadali nam, że w nich ta sprawa wygląda zupełnie inaczej: tam, jeśli sąd orzeka rozwód małżeństwa mającego potomstwo, to równocześnie — z urzędu — rozstrzyga także sprawę mieszkanki: przynajmniej je temu, przy kim została dzieć, a więc eks-współmałżonkowi według — w wypadku, gdyby mu za brakło innych możliwości — do baracków; są takie m. in. pod Belgradem. Prosto i sprawiedliwie! Dochołi wybierała wolność — proste bardzo. Ale dzieć musi mieć dom. Niech nad piekłem, tylko właśnie dom. Moim zdaniem to, na co się u nas tak obietnie dzieć skazuje, to jest po prostu nieludzkie, i groźne społecznie...”

CO ICH ZMUSZA?

Nie tak dawno czytałem w „Życiu Literackim” recenzję o Teodorze Parnickim. Autorka przede wszystkim pośpieszyła z wielkopomnym oznajmieniem, że nie lubi książek Parnickiego.

Ostatnio znów w „Nowych książkach” Władysław Sadkowski pisze o Janie Dobraczyńskim, i śpieszy z wyznaniem: „Nie jestem wielbicielem prozy Dobraczyńskiego i niejednokrotnie dawałem publicznie wyraz...”

Co, czy kto ich, do licha zmusza do tego, by pisać o twórczości, której nie lubią? Jest przecież tylu innych twórców! Jeżeli ktoś czegoś nie lubi, to może coś właśnie prześledzić!

JAN OLECHNO

Październik w Moskwie

Dalszy ciąg ze str. 1

Chociaż na ulicach krąży oddział milicji robotniczej i starają się utrzymać jakiś taki porządek i bezpieczeństwo, atmosfera staje się coraz bardziej niepewna. Policję robotniczą już dawno rozpuścili. Bandytyzm i napady mnożą się zastraszająco, gdyż narastająca fala rewolucji wymioła z więzień moskiewskich strażników i całą administrację więzienną. Kryminaliści najgorszego gatunku ruszyli z opuszczonych przez straż więzień na ulice miasta, uzbroili się i utworzyli groźne bandy, które napadają na przechodniów, a także grabią i gwałcą kobiety.

Dom na Dmitrowce, gdzie mieszkalem, lokatorzy zamienili w fortece, barykadując główne wejście do frontowego budynku i zamykając potężnym łańcuchem żelazne wrota, prowadzące na wewnętrzne podwórze. Zorganizowaliśmy też mały, uzbrojony w pistolety oddział, który całymi nocami pilnował bram. Dobrze się stało, że byliśmy tacy przestępcy, bo już następnej nocy po zorganizowaniu dyżuru musieliśmy ogień nastrożyć i odeprzeć bandę opryszków, którzy na nasze strzały odpowiedzieli palbą karabinową. Wywiązała się strzelanina. Była to moja pierwsza zaprawa bojowa.

Miasto pomalutka zamieniało się w dzikie pola. Oddziały wojskowe i robotnicze, oficerowie i junkrzy, wszyscy zajęci byli przygotowaniami do ostatecznej rozprawy. Nie było warunków do likwidacji bandytyzmu, co powodowało, że coraz częściej tworzyły się takie grupy obronne, jak nasza. Na razie nie miały one jeszcze politycznego zabarwienia i dopiero w czasie, gdy na ulicach toczyła się walka o władzę, niektórzy przemycali do swoich.

W ostatnich tygodniach kompletnie zaniedbałem księgarnię. Jestem w niej gościem. Ruch osłabł znacznie. Ale księgarnia jest ciągle znakomitym punktem informacyjnym, bo Polacy zatrudnieni w rozmaitych działyńcach miasta przynoszą bardzo ciekawe wiadomości i zawsze z pierwszej ręki.

Jak zawsze lekkoomyślny, zasiadziałem się któregoś dnia na Arbacie u znajomych i wracam do domu wieczorem. Ulice są patrolowane i czteroosobowy oddział milicji robotniczej zagarnia mnie z sobą. Pokazuje swój niemiecki paszport — innego przecież nie mam — towarzyszom wydaje się to jednak podejrzane i prowadzą mnie do komisariatu. Trzymają palce na spustach karabinów i obawiam się, że na tych kociach łbach i w ciemności któryś z nich może się potknąć i niechcący mnie postrzelić. Robię więc żartobliwą uwagę na ten temat. Zmitygowali się i prowadzą mnie już bez nadzwyczajnych środków ostrożności. Komisarz, robotnik, szybko zorientował się w moim nastawieniu politycznym i daje mi przepustkę, abym już nie miał kłopotów po drodze. Do domu dobiegam kilkakrotnie zatrzymywany po drodze okrzykiem: — Ruk! wwiecher! — ale przepustka rozpraszała z miejsca wszelkie podejrzenia. W mojej bramie, jak zwykle, czuwała już straż złożona z lokatorów.

Bitwa o Moskwę weszła w stadium decydujące. Zaczęła się akcja zbrojna, w czasie której toczy się zażarte walki o gmachy posiadające znaczenie strategiczne, jak koszar, siedziby ważnych urzędów, mosty

itp. Mieszkańcy miasta przerażonym wzrokiem śledzą krwawe zmagania. Jednak rewolucyjne oddziały robotnicze i żołnierskie zdobywając poszczególne ulice, nie prowadzą żadnej akcji terrorystycznej wymierzonej przeciw nie angażującym się mieszkańcom domów. Nie słysza, by ktokolwiek z liczonej kolonii polskiej rozstrzelany przez po całym mieście, ponieważ jakis szwank. Mimo, że walka toczy się na śmierć i życie, robotnicy przestrzegają reguł gry. Wrogiem jest tylko człowiek uzbrojony. Inna sprawa, że nie można wychylić nosa bez narażenia się na ryzyko, bo karabiny maszynowe omatają ulice i raz po raz rozlegają się detonacje szrapneli.

Niedaleko Dmitrowki, gdzie mieszkam, znajduje się plac Suchariwski, skąd dochodzą odgłosy ożywionej strzelaniny. To rewolucyjni żołnierze skutecznie bronią tego ważnego punktu strategicznego przed nacierającymi białogwardystami.

Według naszego rozeznania sytuacja przedstawia się następująco: śródmieście jest w rękach oddziałów Riabcowa, a dzielnice otaczające śródmieście w rękach rewolucyjnych oddziałów. To jest zrozumiałe, gdyż tam właśnie rozmieszczone są fabryki. Korzystają na tym oddziały rewolucyjne, ponieważ z okolicznych miejscowości spontanicznie przybywają większe lub mniejsze oddziały żołnierzy i robotników doskonale uzbrojonych, dysponujących nawet karabinami maszynowymi. Te nowo nadchodzące posiłki bez zwłoki włączają się do bezpośredniej akcji bojowej.

Krok za krokiem Czerwona Gwardia zdobywa ważne punkty miasta. Szurmem zostaje wzięty budynek naczelnika miasta, gdzie kapitułuje 200 junkrów i doskonale uzbrojonych studentów. Junkrzy kapitułują także w gmachu Aleksiejewskiej Szkoły Wojskowej. Robotnicy zdobywają tam 13 karabinów maszynowych.

W dzielnicy pręśnińskiej brygada artyleryjska odesłała białogwardystom Dworzec Briański, ważny o tyle, że łączy on Moskwę z zachodem, skąd mogłaby ewentualnie nadejść pomoc wojskowa, na którą jeszcze liczą białogwardziści. Dziś dworzec ten, na którym wysiadają obecnie nasze polskie wycieczki do Moskwy, nosi nazwę Białoruskiego.

Coraz bardziej upada duch w oddziałach kontrrewolucyjnych i zaczyna się rozłam w ich szeregach. Niektóre grupy junkrów i oficerów widząc, jak rosną siły czerwonych, poddają się. Coraz częściej słyszymy o pertraktacjach, o zawieszeniu broni. Pertraktacje widocznie nie doprowadzają do niczego, bo walki trwają dalej. Pierścien rewolucyjnych oddziałów zaciska się dookoła Kijaj-grodu i Kremla. Widać, że koniec walki jest bliski.

W dniu 1 listopada zdobyto centralę telefoniczną w zaułku Milutinskim, zamienioną przez białogwardystów niemal na twierdzę. Trudności w zdobyciu centrali były tak wielkie, że czerwogwardziści musieli sprowadzić i użyć artylerii, a z dzwonnicy pobliskiej cerkwi prażyli przeciwnika ogniem maszynowym aż do jego kapitułacji. Wybrałem się do księgarni, aby zobaczyć, czy jeszcze istnieje. Dla większej pewności przyłączyłem się do oddziału żołnierzy, który maszerował w kierunku Wielkiej Lubianki. Wszędzie jednak słychać było gęstą strzelaninę, która sprawiała, że nie odważyłem się przejść przez kilka bocznych ulic, znajdujących się pod ostrzałem. Przedostałem się jednak na plac Teatralny, skąd zobaczyłem mury Kremla. Koło Wielkiego Teatru ulokował się oddział żołnierzy, który nie mógł posuwać się dalej, ponieważ junkrzy z hotelu „Metropol” omiotali cały plac z karabinów maszynowych. Podziwiałem spokój ostrzeliwanych żołnierzy, starych doświadczonych, wygłos frontowych, którzy nawet nie bardzo starali się ukryć i dowcipkować palili machorkę.

Sytuacja zmieniła się, oddział na placu pojawił się działo. Artylerzyści skrupulatnie nastawiali armaty i już pierwszy strzał rozwalął kawał ściany, drugi zaś odłupał część skrzydła hotelu, skąd szedł

ogień karabinu maszynowego. To było momentem decydującym. Jeszcze junkrzy trzymali się w hotelu, ale już następnego dnia, 2 listopada, budynek został zdobyty przez czerwone oddziały.

Tę nocą nie wracam do domu, pomagam przenosić rannych towarzyszy do punktu opatrunkowego. Rannych jest sporo. Walki są coraz zacieplejsze, gdyż zbliżają się do najważniejszego punktu oporu białych, do murów Kremla. Tam jest ich sztab, arsenał i zapasy żywności. Już nie rozłączam się z żołnierzami, którzy szturmowali hotel. Jestem całkiem po tej stronie barykady i gdybym miał karabin w ręku, tak samo strzelałbym do przeciwnika. Ponure są te walki toczne prawie w ciemnościach. Co chwila czarność nocy rozdzierają błyskawice wystrzałów i eksplozji. Słychać jęki rannych, zagłuszane krzykiem zaciekle atakujących żołnierzy, żądnych odwetu za długocierpiącą nędzę i doznane upokorzenia.

Ale junkrzy się trzymają. Dopiero gdy atakującym przychodzi z pomocą artyleria, która wali wprost w bramy Kremla, w bramy Nikitską i Spasską, a sztab białych orientuje się, że jest otoczony żelaznym pierścieniem czerwonych, zaczynają się rozmowy o zawieszeniu działań wojennych i o podpisaniu kapitułacji.

Kreml poddał się 3 listopada o świcie i został natychmiast zajęty przez Czerwogwardię. Warunki kapitułacji były dla białogwardystów bardzo łagodne, gdyż Komitet Wojenno-Rewolucyjny zgodził się nawet na pozostawienie oficerom broni osobistej. Robotnicy jednak nie zgodzili się na to i sami zaczęli rozbrajać oficerów. Nastroj był tak groźny, że tych, którzy się poddali, trzeba było chwilowo umieścić w więzieniu, aby uchronić ich przed samosądem żołnierzy.

Jak trafnie przewidywał Lenin, wypuszczenie na wolność oficerów i junkrów, bez wywołania z mas białogwardystów chociażby tylko prowodyrów, odbiło się fatalnie na dalszym rozwoju wypadków. Okazało się, że ludzie ci przedostali się do organizujących się na Kubaniu i nad Donem, armii kontrrewolucyjnych.

Tak więc cała władza w Moskwie znalazła się w rękach Komitetu Wojenno-Rewolucyjnego. Samo miasto przedstawiało żałosny widok. Wystawy sklepowe rozbite, latarnie zwieszają swoje strzęskane głowy, bruki rozdarte rowami, wiele okien w domach bez szyb. Przysnębiający widok.

Jednak ludzie jak mrówki przystąpili natychmiast do naprawy szkód powstałych na skutek działań wojennych. Oddziały robotnicze we wszystkich dzielnicach zaczęły pracować nad uporządkowaniem zniszczonych ulic i skwerów, pomalutka naprawiały lampy gazowe, elektryczność również dzia-

ła. Rada Moskiewska rozwijała gorączkową działalność nad uruchomieniem zakładów przemysłowych, ale przede wszystkim nad nawiązaniem zaopatrzeniem ludności w żywność, której brak dotkliwie odczuwamy. Pomalutka życie w mieście zaczyna pulsować normalnym rytmem, choć bandytyzm w Moskwie nie został jeszcze zupełnie zlikwidowany. Nadal wieczorami niebezpiecznie porusza się po mieście, zwłaszcza na tych ulicach, ale Rada Moskiewska postanowiła działać w radykalny sposób: milicji robotniczej przyznano prawo doraźnego rania śmiercią bandytów schwytych w gorącym uczynku. Oddział wieczorami styszało się nieraz w różnych częściach miasta, tak ostrą strzelaninę, że przechodnie pędzi z trwogą, czy to aby nie dalszy ciąg walk z oddziałami białogwardystów.

Idę przez zaułek Ulański, gdy nagle słyszę za sobą serię strzałów. Kule niepokojąco zaczynają gwizdać w powietrzu. Przechodzę na przeciwną stronę i widzę, jak niedaleko, po drugiej stronie ulicy ktoś ucieka w moim kierunku. Pędzi za nim kilku ludzi strzelających w biegu. Stałem opodal latarni, przy której milicjanci — bo okazuje się, że to oni gonili podejrzanego o napad — dopadli rabusa i słyszę jak jeden z nich pyta: — Czy to ten? — Tak — pada czyjaś odpowiedź. — Kładź się! — rozlega się rozkaz i zaraz potem dwa strzały kończą życie bandyty. Kilku przechodniów w milczeniu mijają tę makabryczną scenę.

Koncert odbył się przy zapelnionej sali. Pamiątką, między innymi utworami, po mistrzowski odegrany „Śpiew” Noskowskiego. Długo jeszcze, po odprowadzeniu samotnych pań do domu, czułem uspokajający wpływ tej czarującej melodii.

Po tygodniu lub dwóch można było spokojnie spacerować nocą. Na ulicach człowiek znów czuł się bezpieczny. Słuszne okazało się rozporządzenie władzy radzieckiej, upoważniające milicję do dokonywania egzekucji bandytów na miejscu przestępstwa. Rewolucja nie mogła sobie pozwolić na tolerancję wobec elementów antyspołecznych. Przeszkody musiały być usuwane bez skrupułów i natychmiast.

Zima w Moskwie była jak zwykle surowa. Dokuczliwe chłody potęgowały dotkliwe braki w zaopatrzeniu, toteż kto mógł, wyleżał. Jedni udając się okazyjnymi drogami przez Finlandię czy też na południe, starali się znaleźć drogi do Polski, inni przenosili się do krewnych czy przy bliższym frontu, aby skrócić drogi do ocala-

STEFAN SZPINC

(Fragment wspomnień, przys. do druku w Wyd. Łódzkim).



RYSZARD BINKOWSKI

Jarmark w Tuszynie

Przemijają lata, zmienia się czas, lecz wielki jarmark podtrzymuje swą egzotykę i charakter, pozostaje małym obrzędem, gra ludzkich namiętności, drapieżnym nieraz hazardem — groźdnie leśnym, bo 550 lat licząc — co wtorek odżywa tradycja i wielkie „świećto dyszla” się odprawuje.

1.

Niskie opary wlokły się przy ziemi, a słońce wysoko stało nad lasami i polami, gdy podążałem piotrkowskim traktem do Tuszyń. Już w drodze czuło się jarmarkowy

nastroj: ciągnęły wozy z pekatymi worami zboża i ziemniaków, inne z tą choćby lichą owieczką w deskach; gdzieś znów krowa się telepała uwiązana do kłocięcy lub też kobiecina ciągnęła bydłątko na powrozie.

Tramwaj zazgrzytał na krańcówce, z wnętrza wywalił się tłum z koblakami, koszarą, z kłatkami rozwrzeszczanego ptactwa, a poniekąd kupujący z woreczkiem aby pod pachą drałował. Wszyscy, kupujący i sprzedający, na wypróżdki gnali w boczne uliczki, byle tylko pocięte miejsce do pohan-dlowania zająć. Wielogłucha tablica głosi, iż „Handel na ulicach surowo wzbroniony”. Nie to. Sprytny handlarz idzie nabywcy pod ręce same, toteż kobiecie wysorowały się wzdłuż chodnika aż po sam przystanek prawie. A na szpicy owego barwnego szeregu stary chłopiec urzęduje; gmera ją ludziska w jego worku, pełnym rozpakowanych kaczek, co tłustsze macają i kupują bez większego targu — po 50 zł dziadek puścił, byle dalej nabywca nie przeszedł. Poradził to dwóch milicjantów z bloczkami w garści, przepłoszył całą ulicę kobiet i zagna na handlowy plac? Ledwie jedna spise, zagrozi, parę metrów przejdzie — już w pustym miejscu chodnika koszyk pomidorów czerwienieje, już zielone były kapusty wyskoczą, a nad nimi gospodyni pocnie wabić do kupna. Nad dorodnymi ogórkami, nad dzbanami śmietany i wiązankami kopru, cebuli, koblaków w paslaskich welniakach, a sporo jeszcze takich, co zgola no dzisiejszemu ubrane, w kupieckiej ekstazie zastają.

Spod ścian stare, siwe babie nieśmiało swój chędogi pion oferują; te z dorodnym ptactwem, z wielogłuchym i zdrowym owocem dostojnie stoją, statecznie, wyniośle po-glądają — pewne kupna swego towaru. A na placu kłóci i niesnaski wynikała, bo to ciągną ci zennani z ulicy. Grube słowo i łokieć w ruch idą, toczy się walka o miej-

sce na skrajach chodnika. Młoda kobieta w skórzanej kurtce mała dziś zarobi przy skupie królików; obstawili ją szczerze badył-rze skrzykami pomidorów. Prosi, błaga, do rozsadku nawołuje, lecz chłopcy ino się pod-miewują, uszczyliwie słówko rzuci na po-ciecho. Wygrali, bo z baba łatwiej zawsze. Dalej nie pójdą, choć miejsce puste i tam króliki wykunuje trzech rosyłych dryblasów. Chłód z chłodem musi trzymać, a zresztą marne tchórzostwo nie pozwala na stawienie czoła silniejszemu. Tu, na tym placu po-zostało ziemiasto jeszcze przeblyszka: cią-gną się rzędy solidnych trenów, z grubachna na dwa palce drewniana podeszwa; czerw-ie nia się też doniecki i bieli płożno. Stoją tak pół dnia trepiśka, mało ich ubywa, jako że ludzie odzwyczaili się chodzić w tym przy-ciekiem obuwia. Chłód woli dziś kupić w sklepie niedrogi i praktyczniejsze gumowce. Na handlowym placu mniej mężczyzn, to nie dla nich interes! Kobieta — to ta roz-mowniejsza część narodu, więc trękupne łazogami bez przerwy wrę. Spośród niego wynosi się tubalne głosisko: — Pyjam — po-nyjam! Brać, wybrać, jutro wojna, może nie być! — Byczy chłód tak drze się, w berecie na bakier: perskie oko puszcza. Jego rekla-ma niezrozumiała, lepu na muchy dotyczy i jakowychś mikstur w brązowych butelczy-nach.

Z węgry, z zacieciem towar zachwala. W tramwaju był niepozorny, cichusi — tu wszedł w żywioł, wpadł w trans handlowa-nia. Nie w tym miejscu jednak najmocniej-szych wrażeń mi szukać — na końskim jar-marku, na jarmarku świński i krowięcy mi-lić trza.

2.

Dobry dziś targ na końskim i bydłowym placu idzie. Na ogromnej przestrzeni mro-

wie ludzkie przemieszane ze zwierzęcym faluje. Niosa się rżenia i parskania konskie przeraźliwy kwik targanych świni drze po-wietrze pobrzmiwa zawodzący krowi ryk. Najpierw konie stoja, potem krowy uwiązane do drewnianej zagrody a na końcu zaś wylegają świniaki w deskach wozów czy kłatkach drewnianych. Dobre miejsce, prz-przejęciu i z początku wiazdu na plac, za-jał Kania. Okazały to handlarz świń, rosy w cyklistówce w szerokachnych spodniach czarnym swetrze i drogiej zamazanej kurt-ce. Sekunduje mu żona — czarna, przysa-dzista kobieta w brązowym ortalionie. Miesi-kaja koło Łasku i ciemna nocą ruszyli, by na czas zdążyć (ważne!). Kania od dziecka prawie trudni się świńskim handlem. To te-go zawód, z tego żyje. Jeździ po farmarkach w całym niemal województwie. Tam nakup-prosiaków taniej, tu drożej sprzed. Dziś nie bardzo mu się wiedzie bo nierogacizny do cholery nawiezione, a u niego gmera się ze trzydzieści sztuk. Ludzie lubia parkami nabywać, więc Kania parki ma w wychto-wane, różne i większe, średnie i sam dro-biaż też. Postawił drewnianą kłanę na sztorc, kołkiem podpali i towar na słońce wystawił: dorodniejsze sztuki w koleju na ziemi stoja. Stoł spokojny, po sąsiednich wo-zach pochlada, a jednakół klienta bacznie upatrjuje. Ożywił się nieco, nód krzaczasty-mi brwiami zabyłszy mu oczy, bo z wor-kiem pod pachą chłód w gumiakach i wel-wecie nadciąga.

— Ile stoja? — pyta chłód.

— Zależy co? Po siedem i pół, osiem i pół, po 14 też.

Chłód ogłoda, kreć głowa, medytuje.

— Za te drobne sześć byłoby dosyć.

— Co, człowieku?! Ja ci nie będę kradł świń. Prosiaki zdrowe, skóra sam jedwab.

Dostakuje do niego, za rękę chwytą, wali w nią i szeptem szczy:

Historia Polski

W

Pietrozawodsku

Wśród studiujących historię na uczelniach radzieckich dzieje Polski wzbudzały coraz to większe zainteresowanie. Największe uniwersytety radzieckie w Moskwie, Leningradzie i Kijowie utraciły już dość dawno swą wyłączność, jeśli chodzi o studia polonoznawcze, gdyż w coraz to innych wyższych zakładach naukowych na prowincji są uruchamiane seminaria i wykłady monograficzne poświęcone historii Polski.

Dla wzrostu zainteresowań studentów historia Polski duże znaczenie miało wprowadzenie obowiązkowego, zarysowego kursu dzieł Zachodnich i Południowych Słowian. Znaczna część wykładowców tego przedmiotu specjalizowała się i specjalizuje właśnie w zakresie historii Polski. Stąd osobiste zainteresowania „mistrzów” zaczęły udzielać się także i uczniom, a to z kolei dało asumpt do uruchamiania seminariów dyplomatycznych i wykładów monograficznych, tworzenia coraz to nowych ośrodków polonoznawczych.

Obecnie specjalizację w zakresie historii Polski można uzyskać nie tylko w Uniwersytetach centralnych, lecz także w oddalonych ośrodkach prowincjonalnych jak w Irkucku, Woroneżu, Kazaniu, a także i na młodym uniwersytecie w Pietrozawodsku. Właśnie tym ostatnim ośrodkiem polonoznawczym chcę zająć się nieco szerzej.

Pietrozawodsk, stolica Karelskiej Autonomicznej Republiki Radzieckiej, leży na zachodnim brzegu jeziora Onega w odległości około 400 km od Leningradu. Na przełomie XIX i XX wieku miasto liczyło niespełna 14.000 mieszkańców. Dziś Pietrozawodsk jest prawie stoipięćdziesięciotysięcznym, ważnym ośrodkiem przemysłowym i kulturalnym nie tylko Karelii, ale i całej północno-zachodniej pałci ZSRR. Obok uniwersytetu i politechniki szczyści się on posiadaniem autonomicznego oddziału Akademii Nauk, teatrów, filharmonii i szybko rosnących zbiorów bibliotecznych nieodzwolnych dla rozwoju pracy naukowej.

Przed kilku laty na Uniwersytecie w Pietrozawodsku został skierowany, jako wykładowca historii Zachodnich i Południowych Słowian, a także i historii powszechnej, absolwent uniwersytetu w Woroneżu — Borys Popkow. W czasie studiów specjalizował się on w zakresie historii Polski XIX wieku. Ośrodkiem jego zainteresowań była także wszechstronna polityczna, naukowa i pedagogiczna działalność Joachima Lelewela.

W wydawnictwach uniwersyteckich woroneżskiego w latach 1960—1961 Popkow zamieścił szkice: „Carska cenzura wobec utworów Lelewela”, „Naukowa spuścizna Lelewela w ocenie polskiej szlachecko-burżuazyjnej historiografii” oraz „Badania nad twórczością Lelewela w PRL”. Równocześnie w czasopiśmie naukowym: „Woprosy Istorii”, „Słowniki Archiw” i innych publikował Popkow recenzje z książek polskich, omawiających działalność i dorobek Lelewela.

W Pietrozawodsku Popkow poza wykładami o charakterze kursowym (obowiązkowe dla wszystkich studentów danego roku) zaczął prowadzić cykl zajęć specjalistycznych, poświęconych polskimi, walkom narodowo-wyzwoleniczym w XIX wieku.

Początkowo poważną przeszkodą w rozwinięciu badań polonoznawczych w Pietrozawodsku stanowił brak polskiej literatury historycznej. Popkow wywalczył zaprenumerowanie bieżących polskich czasopiśm historycznych, a także uzyskał kredyty na zakup książek w języku polskim.

Ważną rolę w prowadzeniu zajęć, a poprzez nie we wzbudzaniu zainteresowań wśród studentów odegrała prywatna biblioteka zapalonego polonoznawcy. Nawiazał on kontakty z polskimi naukowcami, także i w środowisku łódzkim, a drogą wymiany publikacji zaczął otrzymywać stosunkowo znaczną liczbę książek, które umożliwiły studentom pisanie prac dyplomowych.

W 1967 roku zostały przyjęte przez Radę Wydziału Historycznego Uniwersytetu w Pietrozawodsku pierwsze prace dyplomowe napisane pod kierunkiem Popkowa. Były to prace o I Proletariacie, stosunkach polskoradzieckich w latach 1917—1918, i o sprawie polskiej w końcowym okresie II wojny światowej (1944/45). W bieżącym roku akademickim na seminarium B. Popkowa będą zakończone prace: „Sprawa polska w okresie II wojny światowej”, „Polski ruch robotniczy w latach 1878—1882”, „Początki ruchu socjalistycznego w Polsce”.

Wykłady monograficzne B. Popkowa skupiały nie tylko uczestników seminarium, ale także znaczną grupę studentów innych specjalizacji. Stanowił to niewatpliwie osiągnięcie wykładowcy, który potrafił wzbudzić zainteresowania nie objęte programem zajęć obowiązkowych.

Popkow uzyskał stopień kandydata nauk historycznych za pracę pt. „J. Lelewel w ocenach współczesnych”. Promotorem był kierownik Katedry Historii Zachodnich i Południowych Słowian Uniwersytetu Moskiewskiego prof. Iwan Woronkow, a obrona miała miejsce w Instytucie Słowiańszczyzny Akademii Nauk.

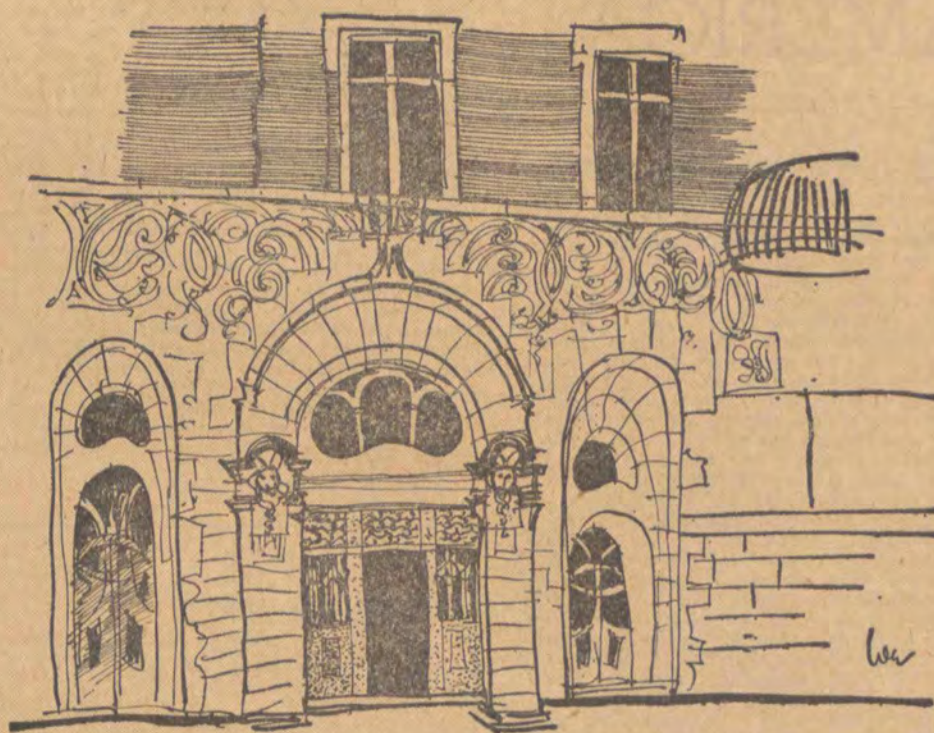
Zainteresowania naukowe Popkowa rozszczałają się na dwa nurty realizowane równolegle. Pierwszy, to wszechstronna działalność Lelewela, drugi — dzieje najnowsze Polski. Tej ostatniej tematyce są poświęcone liczne recenzje oraz szkice pt. „Walka PPR o utworzenie frontu narodowego”, zamieszczony w „Woprosach Istorii”.

Godnym podkreślenia jest upór z jakim B. Popkow dąży do stworzenia w Pietrozawodsku ośrodka badań polonistycznych. Wydaje się, że przeszkodą najważniejszą została po konana. Potrafił on już „zarazić” studentów swoimi własnymi zainteresowaniami, pociągnąć dyplomantów do prac właśnie z zakresu historii Polski, udostępniając im swoje prywatne zbiory biblioteczne.

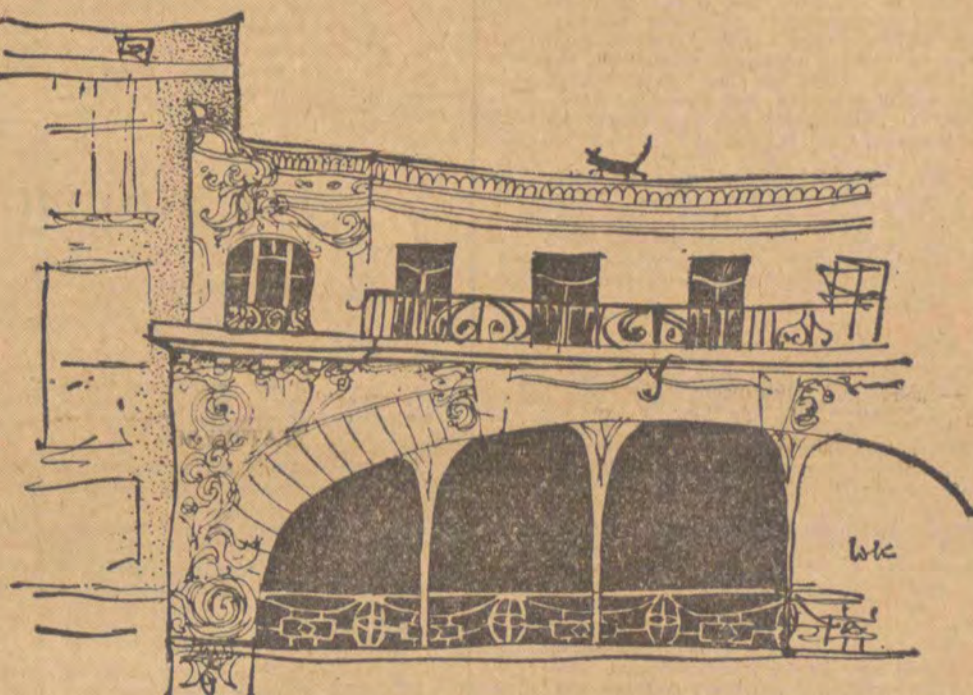
Młodzi polonoznawcy przeważnie nie zrywają „kontaktów” z problematyką polską po ukończeniu studiów. Stają się aktywnymi członkami Towarzystwa Przyjaźni Radziecko-Polskiej, wygłaszają odczyty o tematyce polskiej, organizują (jako nauczyciele) wystawy i konkursy, szerzą wiedzę o Polsce, a tym samym pogłębiają więzy przyjaźni między naszymi narodami.

Wydaje się, że jak dotychczas, stanowiąc zbyt małe kontakty oficjalne łączą historyków polskich z prowincjonalnymi ośrodkami badań polonoznawczych w ZSRR. Prywatne znajomości i wymiana korespondencji nie może zapewnić luki, która wciąż istnieje. Współpracy Polskiej Akademii Nauk z Instytutem Słowiańszczyzny AN ZSRR powinna towarzyszyć współpraca między katedrami polskich uniwersytetów, a naukowcami radzieckimi zajmującymi się historyczną problematyką polską.

Łódzka sacesja



Dom przy al. Kościuszki 93.



Dom przy ul. Piotrkowskiej 100.

Rys. W. Kondak

— W dobra godzinie, żeby się szczęściło — masz dwie dychy: siedem trzydziści.

Ale tamten zaczyna odchodzić, więc Kania dopada i do ucha mu szumi: — Człowieku, bierz za szesć pięćdziesiąt, na początek, tylko słówka nie pójnij! — Przyklepują na zgodę, Kania sam worek trzyma, świniaki za nogi chwytają i wrzuca. A potem trzy razy spłuwa, trzy garście stomy na świniaki ciska i krzyczy triumfalnie: — Za trzy miesiace — trzysta kilo! Bóg zapłać, na szczęście! Na boku forse przelicza, na szczęście na banknoty chucha. Początek zrobił, radośniej okiem na konkurencję patrzy: pewniejszy się czuje.

A na krowim targu facet spaśna krowę zachwala: spory haman jest, wymię obfite. Błyska srebrna szcęką i wykrzykuje:

— Ludzie, to jest krowa do wszystkiego: na mleko, mięso, masło i sery!

— A jako do żarcia dobra — wszystko zerze!

— To galgany tyż? — pada z tłumy.

— Nie wierzta! Tam na ty trawce dopiero krowy nawalily, zobaczyta, czy nie będzie jeść! — Wiedzie krowę za łeb, puszcza, a ta rzeczywiście rwie trawkę zębami. — No i co? — wraca z triumfem — a że mleko wstrzymał? — proste bardzo! Ciągnie się cycek, mleko tryska strumieniem, pieni się i wsiaka w ziemię. Obok stoi babina w polatanej sukience, a przy niej też krowa okazata — kapelusze można jej na boku wieszać. Kupey odchodzą z kwitkiem, gdyż kobieta stoi przy cenie twardo.

— Te dziesięć kilometrów powleke się do domu, ale nie opuszczę — mówi. I już z żalem w głosie dodaje: — Od maleńkości bydlątko chowałam, siedem lat u mnie była. Co dzień czyściłam, poliałam, pasłam — przyzwyczail się człowiek. Z głodu nie umre, a za bele grosz nie uphne.

U Kani chudziutki chłonek z wasikiem, w długachnej kapocie, stoi przy wozie, z

nogi na nogę przydeptuje, prosiaczki w woru ku mu pokwikuja i baraszkuja. Nie odchodzi jednak, bo nie zapłacił. Kania jest cierpliwy, poczeka, ale chłop też go bierze psychologicznie. Płaty raz podejodzi i powiada, iż szesć da, bo brakująca stówma ma kobieta, która gdzieś się zapodziała. Wytrzymał Kania. Oddaje świnki za szesć, bo takiemu jak on handlarzowi honor nie pozwala na wyjęcie prosiaków z zawiązanego już worka. Podchodzi kobieta, sama jest, popatrzuje po tych większych, więc Kania rusza do ataku.

— Ja pani załatwie, że się będzie szczęściło. Patrz pani, co za świniak! — Wyciąga za nogi z koca, rozciąga zwierzątko. Kupująca jest niezdecydowana, to Kania worek jej wyrzuca, trzy spore wieprzki wrzuca, a po dokonany fakcie przystępuje do targu. Wala w ręce kobiety z całej mocy, aż nieszczej świerzki w oczach stają. Kania sprzedaje, on jest gracz, on umie to zrobić. Zona mało wiele się odzywa, tyle co towar pilnuje, by się nie rozlaż. Na placu ruch gorzackowy, ludzie przebiegają między wozami, o ceny przepytują, tańszych mięsie upatrują. Co rusz wyjeżdża wóz ze szczęśliwym, który żywy towar upłynął. Pośród targowiska wesołość wybucha, leca śmiechy i przekpiniki. Oto młody chłopak, smotek grzywiasty mocno, konia z wozem sprzedaje. Konie większy od kucyka a wóz mu podobny. Pragnie ukazać walory rumaka, więc tnie go siarczyście batem i wjeżdża w szczyry piach. Rżną się waskie koła, lecz chabotka idzie ostro, bo z górki. W drodze powrotnej miniatura końska cienkie nogi szeroko rozstawia, dygoce, szarpie się, lecz nie może wydolić, aż powożący zlaży i popycha pusty wózek.

Kania już więcej niż połowę świnek zhandlował i nadal interes zachwala. Jeden kupujący odchodzi, więc goni go z prosiakiem na rekach i krzyczy: — Nie bądź głupi, weź prosiaka, ja cie z bity wyciągnę, jak ku-

pisz! Przy sasiednim wozie jednak za duży ruch. Handlarz rusza tam, jednemu z kupujących coś goraco przedkłada, potem wie-dzie go do siebie, świnkę w worek wypycha i interes ubija. Tak trzeba! A potem do żony: — Idź, szepnij tam, że u nas po 730, 800. — I odciga ludzi, konkurencję bezczelnie niszczy. Mniej ma towaru, na kliencie się odgrzyza.

— Wieprzka nie chcecie, bo bez fajek, maciorki też nie — bo się lachać będzie! Może wam takie z dzwonkiem pod ogonem potrzebne?

Przedtem cenil łacie, większe po 900 para, ale widzi, że chłop jest żywo zainteresowany, więc 950 żada.

— Że co, u mnie gniazda pomiesza-ne? Znakowane są, bracie, patrz i ciecie na posładku — inne gniazdo, ciecie na łopacie — też inne!

Co jakiś czas przepłoszy świnki, żeby zwazsze i zdrowsze się widziały. Pięć mu ino zostało, ceny od niechcenia rzuca, gdyż południe się zbliża. Cóż to, na dzieć robi? Kształcone są, w Gdańsku mieszka. Wstydza się dzisiaj ojca. Zarobi, by zjeść, wypić, z kobietą się popieścić. Te pięć zabierze, na noc zreć da i jutro dalej pojedzie. Dla przyjemności i sportu pracuje, zrół się z zawodem, jak Cygan wolny się czuje i ciągnie go cholernie na handlowy szlak. Około dwunastej Kania zjeżdża z placu.

3.

Złocista kula słońca wisi nad targowiskiem, ryczy spragnione bydło; muchy atakują ludzi i zwierzęta, jako że krowa — stworzenie żywe i od czasu do czasu fontanne puści i tym ciężkim pacaniem na ziemię; dla owadów żerowisko gotowe. Konie ogoniskami machają, ich senne lby w obrotach utkwiły; wielkim okiem patrzy bezwiednie na ludzką krzątałkę, która jest im

obca i nierozumna. Jeszcze gdzieś silniej dłoń kłaśnie, dobijanie targu potwierdzi; jeszcze buchnie swarliwie targujących głos, lecz wozy coraz częściej wyjeżdżają i plac pustoszeje. Wychodze i ja, przed wejściem nowe obrazki nachodze: rządy trepów na ulicach, koszy gotowych pełno, srebrzyście dna sit pobłyskują. Nad wiazkami miotł straconey chłopci sterza, ostatni przedstawiciele tego rzemiosła. Już młodziak mioty nie skreci, nie stanie do handlu — wstąpiłby się. A dziadkowie stoją, zachwalają cichutko; poniektoży na nie najlepszym wygucy siedzi, więc pragnie nieco grosza przysparzyć, choćby na tych parę paczek „sportów”. Na babskim jarmarku też spokojnie już jest. Te, co sprzedają, nad pustymi koszami wystają, na siasadki czekają; pojadają se bułkę, serdelkiem przegrzają. Grzybów pełno jeszcze leży na papierkach w chodnikowym pyłe, nie sprzedana kurka za łapki spłana, leży w rynsztoku i żywem w słońcu się piecze. Urzędują zapóźnione handlarki z Łodzi, oferują przeceniony towar ze sklepów, lecz nie jest on już taki przeceniony!

Na przystanku tłumy się zbierają, bezpardonowo szturmują do wejścia, pieścią, łokciem i złym siowem droge sobie torują.

Na pomostach tramwajowych wory zboża do Łodzi pojadą; stana na „Górniaku” przy hali, po solidnej cenie upłynnione zostana. Sporo grosza w Tuszyńie zostanie i placowe stoi po 15 i 5 zł, a ile takich jest! Tyle, że w gospodzie pustawo. Starszy chłop ceni dobrze grosz ze swej ciężkiej pracy wypruty. To nie młodziak, co w trupa się za-leje! Chłop kupi w sklepie pół litra, bo taniej; po drodze na wozie wynije i najwyżej stryknie się z samochodem na powrotnym szlaku z jarmarcznej przegrody. A we wtorek Tuszyn znów się zaludni, zavra się nowe znajomości, trochę nienawiści powstanie, lecz jarmark trwać będzie co tydzień. Niech trwa.

LITTLE AMERICA

Ide sobie spokojnie po Seidlstrasse, czerwone światło, stop. Wyrasta przede mną kamienica na kołach, ciemnozielona, z napisami z przodu i z boku: — US ARMY. Niby samochód ciężarowy, a przecież kamienica — koła wyższe ode mnie, a licze sobie te skromne metr/osiemdziesiąt sześć. Zima w Monachium jest taka, jak polski wrzesień, przynajmniej teraz: ciepły wie-trzyk wieje od Alp odległych o niespełna czterdzieści kilometrów — więc chłopcy mają przednią szybę swojego domu na kołach opuszczoną, i dwie buzie roześmiane widać wyraźnie, czekają na zielone światło i przez ten czas gadają coś do siebie, ale o czym mogą gadać, skoro są tak różni, i tak się nie lubią, tam, w tym PRAWDZIWYM domu, nie na kołach, nie w Niemczech zachodnich, a w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej? Bo CHŁOPCY są bardzo różni: ten przy kierownicy bielutki, pięgi czerwona widać wyraźnie nawet z krawężnika Seidlstrasse, rude brwi i rude włosy — biały tak, że na trzech by starczyło — a ten drugi jak ulepiony ze smoty. Ten ze smoty ma garnitur ZŁOTYCH zębów i demonstruje swój pełnozłoty uśmiech monachijskim przechodniom, ale nikt na niego nie patrzy, tylko ja. A patrzę, bo po raz pierwszy widzę BOYSOW w mundurach, przy pracy, bo prowadzić taką rolę-wagę to ciężka praca, i patrzę, bo dziw-mnie zbiera: tak się w tych Stanach zloszcza na Murzynów, tak ich pędzą, uczyć się na uniwersytetach nie dają, linczą chłopaków, jak się tylko który na białą lady spojrzy, tak im Murzyni śmierzda, tacy są dla nich głupi i śmiechu i pogardy warti — ale, jak do wojska trzeba iść to nagle wszystko w porządku! To już Murzyn, choćby najczarniejszy, może siedzieć obok białego na jednym siedzeniu wozu! To już nie śmierzda! Już nie jest GŁUPI? Jak włoży mundur, to już jest kochany, RÓW-NY, SWOJ CHŁOPAK? Ach, wy cwane to-buzy z rozmaitych Teksasów!

Na skrzyżowaniu Seidlstrasse i Karlstrasse w Monachium obserwuje oto idealną równość rasową między obywatelami Stanów Zjednoczonych, TOWARZYSZAMI BRO-NI. Obserwuję przez pół minuty, bo tyle trwa postój ogromnego samochodu pod czerwonym światłem.

A potem ide dalej i zastanawiam się, dla czego nigdzie nie widać żołnierzy amerykańskich w mundurach. Bo nie widać! A przecież tylu ich jest!

W odległej dzielnicy Monachium, zwanej LITTLE AMERICA, mieszka kilka tysięcy oficerów i podoficerów US Army. Zawiózł mnie tam pewnego dnia Hugo Unger, jeden z tłumaczy. Zresztą zupełnie przypadkowo się tam znaleźliśmy, bo Hugo chciał od zna-jomych wziąć kupioną dla niego bankę oleju jadalnego, a znajomi mieli domek w po-bliżu Małej Ameryki. Dzieci tych znajomych mają zwyczaj spać po obiedzie do godziny trzeciej, a ponieważ zajęliśmy kwadrans przed trzecią, Hugo powiedział: — Mam jeszcze kwadrans, byłem umó-wiony na trzecią. U nas zbyt wczesne przy-bycie, tak samo jak zbyt późne, może do-prowadzić do pogorszenia stosunków mię-dzy znajomymi. Wobec tego pokażę ci coś...

I skręciliśmy w wąską betonową uliczkę, między szare dwupiętrowe domy o kosza-rowym wyglądzie. Małe okna i pochyłe da-chy sprawiły dość przynębiające wrażenie. Ciągnęły się za zabudowania parę ki-lometrów. Kluczyliśmy uliczkami i spoza szyby Porscha patrzyłem na ZWYCZAJNE życie Amerykanów stacjonujących w Niem-czech zachodnich. W każdym oknie krótko strzyżona głowa Amerykanca; wieszka ten każdy facet wieniec z jedliny za szyba, bo idą święta. Wnętrze przetykane kolorowymi wystawkami. Po ulicach przechadzają się statecznym krokiem małe grupki dzieciaków, ubranych barwnie i fikuśnie, jak krasnoludki z Disneya. Na matych placykach i skwerkach między zespołami domów stoją wysokie choinki. Mijamy różowe kor-ty tenisowe, otoczone niskim żywopłotem baseny pływakie, ogródki jordanowskie, szkoły i gimnazja z rozległymi boiskami.

Rzecz ciekawa — nie ma w ogóle garaży. Z obu stron każdego domu wysterczały wiaty na metalowych słupkach. Pod nimi stare, sprzed pięciu, siedmiu lat krawoźni-ki, nadgryzione przez rdzę, co widać wy-raźnie nawet z odległości kilkunastu me-trów. Nie widziałem ani jednego NOWEGO wozu! Oficerowie dojeżdżają widać te swo-je kanapy do końca.

I wszyscy oni — NIE w mundurach! Swe-try, zielone wojskowe koszule, kurtki z piętnastoma kieszeniami, na piętnaście eks-presów — ale nie mundury! Co to za wojsko?

— A jednak wojsko — powiada Hugo. — Niemcy nie zapominają ani na chwilę, że znajdują się pod okupacją amerykańską. Ze istnieją dzięki amerykańskiemu pienia-dzom. Ze w końcu Ameryce zawdzięczają WYZWOLENIE, to znaczy to, że nie znaj-dują się pod okupacją SOWIECKĄ. A tego przecież nie mogą sobie nawet WYOBRA-ZIĆ. Ale w gruncie rzeczy...

W gruncie rzeczy to wiem... KAŻDY Nie-miec, którego spotkałem w Monachium, py-tał mnie najpierw, czy jestem Amerykani-nem. Kiedy mówiłem, że nie, na twarzy tamtego natychmiast pokazywał się niktły, albo całkiem wyraźny uśmiech. Z początku nie wiedziałem, co to znaczy. Teraz już wiem. Wystarczyło porozmawiać z ludźmi,

przeczytać parę numerów wieczornych ga-zet.

Monachijscy nie kochają Amerykanów. Nawet, śmiało można powiedzieć, mają do nich stosunek wręcz odwrotny. Ale dła-czego, dlaczego? Mimo tylu miłosnych zabie-gów?

Rzecz w tym, że zabiegł Amerykanów nawet te miłosne, zbyt często mają całkiem brutalną formę, do której niemiecki miesz-czanin nie jest, przynajmniej na swoim te-renie, przyzwyczajony. Otóż — nie ma ty-godnia, żeby chłopcy z Teksasu, czy innego Ohio nie narozrabiali. Nie wiedzą, co to znaczy VORNLEBE, czyli przedmiłość, kto miał ich tego nauczyć, pośród preri, kiedy czas ucieka, a pedzić trzeba Fordem sto mil na godzinę. To tylko my, Europejczycy, a zwłaszcza nasze kobiety, posiadamy takie zupełnie niewspółmierne wymagania. Oni, chłopcy z dalekich dzielnic świata, wpadają natychmiast w LIEBESRAUSCH, w nie-pomny nieczysty SZAL MIŁOSNY, ich dzia-łania wytycza i określa nieposkromiony in-stykt... Może to i zgodne z najbardziej pierwotnie pojętą naturą, może to zdrowe... Co? kiedy Niemki i Niemcy mają na ten temat inne zgoda zapamiętania. Wiele kiedy dwóch Amerykanów w Ogródku Angielskim zgwałciło młodą, zacofaną osóbkę, oby-wa-tele Monachium podnieśli całkiem nieumo-tywowany wrzask w swojej prasie. Wiele kiedy podczas mojego pobytu w München sześciu panów z Ohio wciągnęło noca do

GWALT jest obcy mentalności niemieckiej. My NIE UMIEMY gwałcić. I dlatego to, co nasze kobiety ze strony tych bydlaków spo-tyka, jest dla nas wstrząsającym koszma-rem.

Odpieram mu na to:

— Ja osobiście, jeśli tak można powie-dzieć, bo przecież nie jestem kobietą, wolał-bym być tysiąc razy gwałcony, a żyć, niż być trupem. Dla mnie ŻYCIE jest NAJWAŻ-NIEJSZE. Ale właśnie, z czysto męskiego punktu widzenia, uważam, że facetów, któ-rych gwałcą kobiety, należałoby częściej na-jbardziej wyrafinowanymi torturami, aż do momentu śmierci. Gwałt, mimo że w ostatecznym rachunku jest LEPSZY od śmierci, bo zostawia życie, jest jednocześnie od śmierci GORSZY, bo śmierć nie UPO-KARZA. Zgadza się z panem całkowicie: to jest koszmarny. Gdyby ktoś zrobił to mojej dziewczynie, a wiedziałbym, kto to jest, to wtedy... ja...

I powiedziałem facetowi rzecz taką, że ten, prawdopodobnie był esesman, obzna-jomiony fachowo z pewnymi SPRAWAMI, aż się zatrząsł ze zgrozy. Spojrzał na mnie ze zdumieniem, w którym jednakże było mnóstwo podziwu.

I proszę, domyślcie, czy to nie dziwne? Cała rodzina prawie Niemcy mi wytukli, naszymi kobietami dla pseudonaukowych do-świadczeń rozdrubali brzuchy, zaszczerpiali nowotwory na narządach rodnych, wyimo-wall wszystko ze środka, tampony nasyczone

JANUSZ KRÓLIKOWSKI

Uczta

Wzór dla krwi płynącej: kolisty ruch planet
W zylach tak jak w niebie krąży czas wszechświata.
To nie zwierzę pędzi — to mijają lata
Ledwo rozbudzone a już zapomniane.

A kiedy ucieczka przemienia się w padło,
Mężczyźni głód niosą w coraz większych dziobach,
Kobiety wlatują na szerokie błotach
I na ucztę — z góry — patrzą jak w zwierciadło.

I znowu powracam

I znowu powracam do minionych spraw,
Gdzie nad brzegiem morza leży moja miłość
— Nagość swą ukrywszy pośród bujnych traw,
Pośród traw tak wielkich — jakby jej nie było.

I znowu powracam... A gdziekolwiek stanę
Morze ciężkie lustra rozbija na brzegu,
Bo w nich zamieszkała moja smutna pamięć —
O pięknej kobiecie i dobrym człowieku,

O maleńkiej wyspie, na której co dnia
Płynęliśmy w słońcu między obłokami
I o tym chłopczyku, który ciągle tka,
Kiedy go wspominam — bo chciał płynąć z nami.

I znowu powracam... I widzę, że głód
Gęstniejący w piersi jest jej negatywem
— Perłą wystrzeloną z rozgniewanych wód,
Bym ją cierpiał dalej, gdyż miłość straciłem.

Tak mędrzec na próżno poszukuje góry,
By się z nią podzielić wielkością — jak łupem.

Tak mściwy kochanek zaciąga pazury
Na gardle kobiety — i sam pada trupem.

bramy i zgwałciło wracając z dyżuru pie-legniarkę, to też podniesiono całkiem nie-potrzebny wrzask. Chłopcy muszą trochę pokochać, telewizja w gruncie rzeczy nud-na, a koszaży smutne. Więc kiedy co ty-dzień zdarzają się takie nie wspólnego z przestępstwem nie mające faktyki, to Niem-cy robią sobie z tego darmowa cotygodnio-wą sensację, nie mając za grosz zrozumie-nia dla przyrodzonych potrzeb wspaniałych boys.

Poznałem pewnego pana, posiadającego znak wytatuowany... nie, nie na przedra-mieniu, on nie siedział w Oświęcimiu — ta-tuaż figurował pod lewą pachą, ów pan był po prostu kiedyś w SS. Dziś jest redak-torem pewnego znanego w Europie wydaw-nictwa, przyjeżdża do Polski na targi książ-ki, odbywające się, jak wiadomo, w war-szawskim Pałacu Kultury i Nauki. Mity gość, gdy jeszcze spełniał swą zaszczytną w SS funkcję, również przebywał w naszym kraju. Mam nieplonna nadzieję, że kiedyś wrzescie ktoś z naszych go rozpozna i spo-woduje, że pan redaktor zostanie w Polsce na dłużej, a może na zawsze. Na razie nie mogę do publicznej wiadomości podać naz-wiska tego faceta, ponieważ opieram się tyl-ko na wiadomościach podanych mi przez kil-ka osób w Monachium. Osobiście nie mo-głem żadnego z tych faktów sprawdzić, rów-nież, rzecz oczywista, nie widziałem tatua-żu, choć Herr Redaktor byłby nie od tego, żebyśmy sobie swoje tatuaże pokazali, ze względu na pewne jednoznaczne — nabyte być może, podczas ciężkiej służby w SS — skłonności. Wszystko jedno: bez dokładnej znajomości faktów obciążających nie wolno mi zrobić facetowi reklamy, bo może to wszystko plotki, bo może być krzywdą.

Ale do rzeczy. Otóż z tym facetem rozma-wiałem na temat opisanych wyżej obyczaj-owych uchybień amerykańskich wojsków. Powiedział:

— Żyje wśród nas wielu ludzi przyzwyczajonych do widoku trupów. Żyje też wie-lu, którzy niewątpliwie sami zabijali. Ale

benzyna wkładali w najwrażliwsze miejsca i podpalali (Oświęcim!), ja sam miałem se-rie nocy, kiedy budziłem się z wrzaskiem w kałuży potu, bo mi się śniło, że Niemiec wbił mi w serce zastrzyk fenolu... i oto z facetem, o którym wszyscy jego znajomi mówią, że był w DOBOROWEJ stawce NIEMCÓW zaledwie dwadzieścia parę sezo-nów temu, rozmawiam sobie spokojnie o okrutnych krzywdach, jakich doznają nie-mieckie niewiasty od źle wychowanych Ame-rykanów. Dziwnie się toczy los świata i na-sze w nim, małe losy.

Ale dalej. Jeżdżymy więc z Hugo Ungerem po tej Little America w te i nazad, przypa-truje się spartańskim domkom imperialis-tów, nie specjalnego. To nie stąd się biorą okrutnicy. Koszaży szeregowców są gdzie in-dziej. Ale nawet szarże nie pokazywały się na ulicach Monachium w pełnym umundurowaniu. Po co drażnić społeczeństwo?

Zwykle żołnierstwo, kiedy ma wolne i wy-lazi na miasto, ubiera się po cywilnemu. Albo tylko częściowo: spodnie czy buty wojskowe, ale sweter cywilny, koszula i płaszcz. Najczęściej jakiś element stroju wojskowego zostaje. Nie myślcie jednak, że repertuar potrzeb mitych żołnierzyków kończy się na checiach erotycznych. O, nie. Równie waż-nym problemem, jeśli nie ważniejszym, są pieniądze. Czasami żołdu nie wystarcza, zwłaszcza kiedy się lubi whisky, a się na ogół lubi. Wówczas wsiada dwóch spragnio-nych teksasiaków do taxi, każda się wieść w jakąś skromniejszą ulicę, gdzie nie ma neonów i prawdopodobnie policji; tam ta-duja szoferowi parę fachowych narkoz w naiwny łeb, zabierają utarg, te skromne kilkadziesiąt marek, które facet zdażył so-bie upracować — i znika. Rzecz jasna, nie zawsze narkoza wystarcza, facet wyarty-źnia nad wyraz dobrze kolejne dawki, za-cyna się wściec niespokojnie, jakby mu było źle, krzyczy, sięga po swój taksówkowy telefon, więc nie ma rady, trzeba mu zaaplikować środek niezawodny, parę posunić sprężyno-



Fot. Kolláth Mária. (Węgry)

wym koziołem i spokój. Facet uwolniony od meczącego obowiązku prowadzenia tak-sówki, teksasiaki uwolnieni od dreczącego pragnienia. Ida do knajpy obok. OBOK! Zrozumie mnie dobrze. Ja też nie mogłem zrozumieć, kiedy mi o tym mówiono, kiedy o tym czytałem. Na kilkanaście napadów ra-bunkowych, dokonanych na taksówkarzy w ubiegłym roku, sześć zakończyło się śmier-cią szoferów. W KAŻDYM przypadku spraw-ców schwytano najdalej po dwóch godzi-nach w którymś z pobliskich barów. Po prostu — kiedy mieli już pieniądze, szli napić się gdzieś w pobliżu. Nie troszczyli się o przyszłość. Nic a nic.

I nikt nie wie, jak naprawdę ich przy-złość wygląda. Gazety podają tylko opis wypadku — potem losy sprawców wymyka-ją się spod publicznej obserwacji. Zabiera ich Military Police, wiezie pewnie do wojskowego aresztu, pewnie odbywa się nad łobuzami coś w rodzaju sądu — ale wszys-cy, z którymi w Niemczech na ten temat rozmawiałem, są zdania, że przestępcy nie idą na krzesło elektryczne ani do więzienia. Zwyczajnie: SZKODA LUDZI. Wysyła się ich do WIETNAMU. Tam są potrzebni, tam się na pewno przydadzą.

Opinia publiczna w Monachium musi więc zadawać się reportażkami „z placu boju” nosicielami amerykańskiej kultury.

Nikt na ogół nie zwraca uwagi na coś, z czego ja jestem niesłychanie dumny i za-dowolony. Otóż NIGDY nie zdarzyło się, żeby przestępca, bandyta czy gwałcicielem był MURZYN. To tylko biali w ten sposób swoje potrzeby zalać. Ci biali, którzy łączą się w Ku-Klux-Klany i Armie Zba-wienia, ociekają sentymentalizmem oraz in-fantylnym okrucieństwem, linczą i wieszają Murzynów, mordują podstępnie na oczach milionów ludzi swego prezydenta. Ci biali, którzy uważają się bez żadnych wątpliwości, za najbardziej cywilizowany naród świata, ponieważ przeliczają swoją cywilizację na ilość telewizorów i aut. A przecież ich etyka przypomina małpę, która zawieszona ogo-nem na gałęzi, ręce trzyma na kierownicy luksusowego Cadillaca z telefonem, barkiem i lodówką.

Jeżdżę powolnkiem betonowymi uliczkami tej surowej Little America i staram się w ciągu kwadransa podsumować amerykańskie konkrety, te, które znam, które są bezspór-ne. Weźmy na zdrowy, chłopski rozum: kie-dy byłem szczeniakiem, zaraz po wojnie, pi-łem skondensowane mleko z amerykańskich paczek UNRRA. Mleko było co kot napia-kał, więc się zaraz skończyło. Wyszła sprawa Korei. Mordowali Koreańczyków napal-nem. Napalm to nie mleczko skondensowa-ne. Teraz Wietnam. Znamy nieźle tę sprawę. Ponadto, wiem że mają w swoim kra-ju mnóstwo samochodów. Że mają mnóstwo pieniędzy. Że są brutalni i męscy. Jak wy-nika z ich filmów. Że kiedyś byli kow-bojami. W końcu wojny, kiedy już nie było trzeba, spalili Hiroszimę i Nagasaki atomem. Cwani: w ten sposób chcieli zastraszyć STRONĘ KOMUNISTYCZNĄ. Nie udało się. Ale przy okazji zginęło paręset tysięcy lud-zi. Mają też gangsterów i w związku z tym ogromne ilości filmów na ten temat. Wiem też, że oni pytają, czy Polska to dzielnica Moskwy. I wreszcie wiem, że w Monachium gwałcą kobiety zabijają taksia-ry, rządzą strzelaniny na ulicach. Wiem, że robiliby to w każdym mieście świata. Że robiliby to i w Warszawie.

Chwileczkę — nie zapuszczajmy się zbyt daleko. Logika bywa niekiedy cholernie bo-lesna.

Co przetrwa, co zostanie?

Nikt nie jest w stanie przewidzieć, co z dorobku pisarza pozostanie dla przyszłych pokoleń. Myślę o tym w kontekście krytyki literatury, którą sam autorzy. Znany jest powszechnie przykład Andersena. Za życia przykładał on wielką wagę do swoich powieści, w których ukazywał ogrom wysiłku, energii i ambicji. A kto dziś czyta powieści Andersena? Świat o nich zupełnie zapomniał. Natomiast bajki, które Andersen traktował jako margines swej twórczości, przyniosły mu prawdziwą sławę i zapewniły nieśmiertelność.

Niedawno zmarł Iłja Erenburg. Był to pisarz płodny i niezwykle pracowity. Pisał zawsze i wszędzie. Pozostawił po nim wiersze, opowiadania, powieści, dramaty, reportaże, szkice literackie, listy z podróży, pamiętniki. Nie chciał być fałszywym prorokiem, ale wydaje mi się, że z obfitego dorobku Erenburga największe szanse na przetrwanie mają jego wspomnienia „Lata, ludzie, życie”, których napisał sześć tomów, z czego trzy ukazały się już po polsku w doskonałym przekładzie Wacława Komarnickiej. Oczywiście Erenburg jest autorem kilku świetnych błyskotliwych powieści, zwłaszcza z wcześniejszego okresu, żeby wymienić „Przygody Julia Jurkiewicza” i „Lata, ludzie, życie”. W trzecim tomie „Lata, ludzie, życie” Erenburg stwierdza, że teraz i aż wstyd przypominać: od roku 1931 napisał wiele dzieł, które dziś są już tylko „papierem, trwonieniem samego siebie”. Ale i w późniejszych latach pisarz pod tym względem wciąż się nie zmienił. Pisał równie dużo i równie szybko. I tu dochodzimy do sprawy tzw. temperamentu pisarstwa. Pisarz jest, jak jest. Trudno wyobrazić sobie Erenburga w sytuacji Marcela Prousta, który w gabinecie wyleżonym karkiem odgrodził się od wszelkich odgłosów życia i w całkowitej ciszy pisał swoje kunsztowne dzieła. Erenburg z uciechy i temperamentu był pisarzem reagującym żywo na wydarzenia tego świata. Samych artykułów napisał ponad trzy tysiące, a jeśli dodać do tego przeszło trzydzieści tomów prozy, stanowić to będzie ilość wprost przytłaczająca. A przecież nikt go do tego nie zmuszał. Imał się tych rzeczy, gnał naturalną skłonnością do swego talentu, bez zamyślenia na co

dzień w formach dziennikarskich własnego stanowiska po politycznego i artystycznego. Trzeba brać Erenburga takim jakim był, a był to pisarz niepospolicie utalentowany, który w swoim dorobku ma rzeczy świetne i rzeczy słabe. O Erenburgu krytycy pisali z entuzjazmem i dezaprobatą. Mało kto z pisarzy otrzymał tyle pochwał i tyle nagan, co on. Znam bardzo złośliwą anegdotę o nim znaną w Warszawie przez Jeana Amery w tomie, jego sylwetki i portretów literackich. Działło się to w czasie pobytu Erenburga w Nowym Jorku w 1946 roku. Do starego znajomego, który przeszedł na ulicę obok Erenburga, nie pozdrowiłszy go, zdziwiony autor odezwał się w te słowa: „Jak to? Czy pan mnie nie poznaje?” Znajomy zatrzymał się i odpowiedział: „Naturalnie, że poznaje. Pan Iłja Erenburg, były pisarz.” Jest to tylko anegdota, ale i anegdota, jak wiadomo, wiele mówi o ludziach.

Jeden z krytyków zauważył, że upadek talentu Erenburga zaczął się wraz z „Upadkiem Paryża”. Myślę, że to nie jest prawdą. Wszakże, że jest to opinia krzywdząca. Naturalnie już w „Upadku Paryża” zarysowały się niebezpieczeństwa, które można by określić jako narastającą agitacyjność i uproszczone widzenie problemów społecznych. Ale „Upadek Paryża” nie da się w żadnym razie porównać z późniejszymi powieściami Erenburga: „Burza” i „Dziwotał”, które (nieestety) są smutnym świadectwem schematyzmu i drętwej mowy.

Erenburg nie był człowiekiem bez skazy. W jego życiu wiele było stron zawiłych, niejasnych, budzących wątpliwości. Podobno nie należy od pisarzy i artystów wymagać niezłomności charakteru. Mówi się nawet, że im większy talent, tym mniejszy charakter. Wyczuwam, że Erenburg zdawał sobie z tych swoich „ułomności” sprawę, o czym mogą świadczyć niektóre jego uwagi i refleksje zawarte we wspomnieniach. Cokolwiek by się jednak nie powiedziało, Erenburg był osobowością wybitną, bez której nie można sobie wyobrazić nie tylko literatury rosyjskiej, ale i w pewnym sensie także europejskiej. Po jego śmierci we wszystkich najważniejszych czasopiśmie europejskich ukazały się artykuły i wspomnienia o nim. Szczególnie wiele napisano o nim we Francji, a tygodnik „Les Nouvelles Littéraires” zamieścił ostatni przed śmiercią wywiad z Erenburgiem. Na te sprawy francuskiej to co u nas pisano o Erenburgu (a pisano sporo), wypadło bardzo i nieciekawie.

Erenburg już jako młody chłopiec działał w konspiracji, mając załagwie siedemnaście lat uciekł, zagrożony, do Paryża, powrócił do Rosji,

gdzie przeżył rewolucję i pierwsze powojenne lata. Potem znowu Paryż, uczestnicząc w wielu akcjach o charakterze politycznym, korespondencje do gazet radzieckich, bogata twórczość prozatorska, wyjazd do Wiednia, do Hiszpanii ogarniętej wojną domową, krótki pobyt w Polsce, powrót do kraju, udział w wojnie w roli korespondenta, a wreszcie, po wywołaniu, widzimy Erenburga na kongresach pokoju w różnych krajach jako znakomitego mówcę i trybuna. Tak, nie ulega kwestii, życie bujne i bogate. Człowiek odnosi się do niego z wielką ciekawością i szacunkiem. Erenburg nie miał nigdy znaleźć miejsca za swoją gorączkową działalnością pisarską, pragnął zagłębić się w sobie niepokój i rozterki sumienia. Obraz swego życia od dzieciństwa i młodości aż po lata sześćdziesiąte naszego wieku, narysował pisarz w sześciotomowym dziele wspomnień „Lata, ludzie, życie”. Autobiografia Erenburga różni się od książek tego rodzaju innych autorów. Erenburg przedstawia swoje życie na szerokim tle wydarzeń historycznych we własnym kraju i w Europie, a czyni to z wielką pasją, plastycznością i z fajerem.

Mimo iż „Lata, ludzie, życie” liczą aż sześć tomów, nie można powiedzieć, że są to wspomnienia rozwlekłe. Przeciwnie: uderza w nich zwięzłość i syntetyczność ujęć. Erenburg pisze energicznie, krótkimi zdaniami, prosto i z narzucającą się sugestywnością. Iłja znał od ludzi, z kim się nie spotykał, o czym nie rozmawiał! Znajdźmy w jego wspomnieniach znakomite wrecz portrety Cwietajewej, Ałeksandra Tołstoja, Brjusowa, Babił, Majakowskiego, Tuwima, Piłcassa, Ernesta Tołera, Malraux i wielu innych. Jedni byli mu bliżej, inni — obcy i dalecy. Erenburg potrafił w jednym zdaniu uchwycić istotę rzeczy. Oto jak np. podsumował swój stosunek do Majakowskiego: „Spotykałem się często i nie spotykałem się ani razu.”

Zawsze, ilekroć przyjdzie mi zajmować się twórczością pisarza obcego, sprawdzam, jaki był jego stosunek do Polski. Wiem, że nie może to przesądzać ani o charakterze, ani o walorach pisarskiej twórczości. Dawno już wybaczyłem Dostojewskiemu jego niechęć do Polaków, gdyż jest to pisarz wielki, żeby nie powiedzieć jeden z największych na świecie. Ale w przypadku pisarzy mniejszej rangi moje kryterium pomocnicze nie jest tak zupełnie bez znaczenia. Otóż z prawdziwą przyjemnością przeczytałem w pamiętniku Erenburga rozdział o Judecie Tuwimie i rozdział o Polakach. W obydwu tych rozdziałach Erenburg składa oświadczenia swej miłości do Polski. Piszemy on m. in.: „Ani jesienią w roku 1947, kiedy to rozdział pisać zaczął, ani też nigdy później nie czułem się w Polsce samotny. Jest to, co prawda, tylko sucha z mej strony notatka, lecz mówi ona bardzo dużo.” Pamiętajmy, że o Polsce często pisało się źle. Toteż pisarz, który twierdzi, że nie czuł się w moim kraju samotny, zasługuje sobie na moją całkowitą sympatię. W przypadku Erenburga nie tylko zresztą z tego powodu.

O KONTAKTACH radziecko-polskich

Rozmowa z Wiktorem Borisowem

W sierpniu i wrześniu tego roku przebywał w Polsce tłumacz i znawca literatury polskiej — Wiktor Borisow. W czasie swego pobytu W. Borisow odwiedził również Łódź. W redakcji „Odgłosów” przeprowadziliśmy z nim wywiad, który zamieszczamy poniżej.

ODGŁOSY: Jak pan ocenia kontakty literackie radziecko-polskie?

W. BORISOW: Kontakty nasze rozwijają się z roku na rok, stają się głębsze, bardziej przyjacielskie i twórcze. Przykładem może tu być dialog pisarzy radzieckich i polskich, który odbył się niedawno w Moskwie na temat: „Postać współczesnego bohatera w literaturze”. Rezultaty tej dyskusji, w której ze strony polskiej wzięli udział pisarze jak Tadeusz Hołuj, Władysław Machajek, Zofia Bystrzycka, Andrzej Wasilewski i inni, a radzieckiej — Jurij Bondariw, Witalij Ozerow, Grigorij Baklanow i inni, zostały opublikowane w prasie radzieckiej oraz częściowo w tygodniku „Życie Literackie”. Spotkania tego rodzaju, poświęcone aktualnym zagadnieniom rozwoju naszej literatury, są bardzo pożyteczne i bardzo jest wskazane kontynuowanie ich w przyszłości. W niedalekim czasie odbędzie się spotkanie na temat: „Realizm a nowoczesność” oraz inne. Do równie ważnych form współpracy należą bezpośrednie kontakty twórcze pomiędzy redakcjami czasopism istnieją już porozumienia w tej sprawie między „Kulturą” i „Współczesnością”, a „Literaturna gazeta”, pomiędzy „Drużba Narodów” a „Twórczość” pomiędzy „Sybirskimi ogniami” a „Wrocławską Odgą”. Poza tym prowadzimy wymianę materiałów do publikacji oraz wymianę kulturalną pomiędzy naszymi związkami.

ODGŁOSY: A jak przedstawiła się przygotowania do obchodów 50-lecia Wielkiej Rewolucji Październikowej?

W. BORISOW: Tak, ten rok jest dla nas szczególnie ważny. Dużym wydarzeniem w naszym życiu kulturalnym był czwarty zjazd pisarzy ZSRR na którym podsumowano dorobek literatury radzieckiej za okres minionego 50-lecia i nakreślono perspektywy dalszego jej rozwoju. Warto nadmienić, że w pracach naszego zjazdu wzięło udział wielu wybitnych pisarzy z zagranicy, w tej liczbie Jarosław Iwaszkiewicz i Jan Koprowski. W związku z 50-leciem przygotowujemy szereg interesujących imprez m.in. odbywa się już konferencja tłumaczy literatury radzieckiej z krajów socjalistycznych. Następnie odbędzie się międzynarodowy festiwal poezji w Moskwie, przygotujemy antologię poezji rewolucyjnej autorów z krajów socjalistycznych itp. Cenną inicjatywę przejawili pisarze polscy przygotowując tom reportaży współczesnych o Związku Radzieckim. W tym celu przebywał już u nas Janusz Krasiński, Eugeniusz Kabat, Aleksander Minkowski, Jerzy Krzysztof Józef Lenart, Maciej Patkowski i Roman Samseł. Radzieccy pisarze wezmą udział w Festiwalu Sztuk Rosyjskich i Ra-

dzieckich, jaki odbędzie się w Katowicach w listopadzie oraz w Ogólnopolskim Konkursie Teatrów Amatorskich w Poznaniu.

ODGŁOSY: Co w ostatnich latach przełożono z literatury polskiej i jakie są plany na przyszłość w tym względzie?

W. BORISOW: Bardzo ważną formą współpracy są tłumaczenia książek polskich na język rosyjski i radzieckich na polski. U nas dość dużo tłumaczy się waszych autorów, tak jak i wy tłumaczycie wielu naszych. Tak np. ostatnio wydano u nas sporo ciekawych książek m. in. powieści bardzo u nas cenionego J. Iwaszkiewicza „Stawa i chwata” (wkrótce ukaza się również jego „Czerwone tarce”), Jerzego Andrzejewskiego „Popiół i diament”, Tadeusza Konwickiego „Sennik współczesny”, powieści Karwala Hołuj, Filipowicza i innych. Wyszła antologia współczesnych dramatów polskich, zbiór wierszy Ogińskiego „Pełnia”, w najbliższym czasie ukaza się w nowych lepszych tłumaczeniach, wiersze Broniewskiego i Gajczyńskiego. Chciałbym podkreślić, że my obecnie przykładamy szczególną uwagę do jakości przekładów. W przygotowaniu znajduje się wybór wierszy Norwida, wiersze Herberta, Grochowiaka, wydamy antologię polskiej poezji współczesnej. W planach wydawnictw antologii polskiej noweli, a także wybór utworów młodych polskich nowelistów. Osobno ukaza się książka Natkowskiej Macha Putramenta, Zukrowskiego i innych. Dodajmy w nawiasie, że wiele poezji polskich pisarzy ukaza się w językach innych narodów naszych republik i chociaż, powtarzam, poezji polskich ukazuje się u nas spo-

ro, wydawcy nasi muszą wypłacić sporo łuk i przyswoić jeszcze więcej dobrych książek z literatury polskiej. Również i w Polsce mało są znane liczne i cenne pozycje bogatej wielonarodowej literatury radzieckiej.

ODGŁOSY: Czy może nam pan powiedzieć coś o sobie i swoich planach przekładowych?

W. BORISOW: Tłumaczę niedużo, gdyż mam wiele pracy w komisji zagranicznej Związku Pisarzy Radzieckich. A poza tym wyznaje zasadę: lepiej mniej, a dobrze. Przekładów, tłumaczyłem Putramenta, Iwaszkiewicza, A. Rudnickiego, T. Różewicza i innych. Najnowsza moja praca — tłumaczenie mikropowieści Filipowicza „Ogród pana Nietschke”, którego twórczość bardzo cenię. Przygotowałem wybór noweli polskich, z których sam kilka przetłumaczę. Do antologii wejść m. in. utwory Iwaszkiewicza, Andrzejewskiego, Dąbrowskiej, K. Brandysa, Parandowskiego, Zawieyskiego, Putramenta, Pruszyńskiego i innych. W sumie utwory trzydziestu autorów. Niedawno przetłumaczyłem kilka nowel Brylla „Odrodzą-Pieniążka”, Parandowskiego. Myślę, że wreszcie w najbliższym czasie ukończę przekład pięknej książki Parandowskiego „O Petrarce”, która od dawna mnie interesuje. Mam w planie także tłumaczenia nowel pisarzy, w tym również pisarzy mieszkających w Łodzi.

Książki nadesłane

Rocznik Literacki 1965 rok, PIW, cena zł 70.—
Witold Zechenter, Wiersze Wybrane, W. Lit., cena zł 20.—

Jerzy Lesław Ordan, Poza rzeczy Iskry, cena zł 10.—
Helmuth Kajzar, Znałem się z LSW, cena zł 10.—
Józef Olszewski, Niepokój ziemi, Iskry, cena zł 10.—
Ewa Przybylska, Popołudnia fauna, Wydawnictwo Łódzkie, cena zł 14.—

spektakle tygodnia

TEATRY			
NOWY	Mała Sala	„Skiz”, 5 spektakli	700 — 70%
	JARACZA w lokalu „ROZMAITOŚCI”	„Ogniem i mieczem”, 2 spektakle	1212 — 95%
POWSZECHNY		„Derby w pałacu”, 1 spektakl	350 — 52%
		„Tajemnica starej wierzby”, 1 spektakl	423 — 63%
7.35		„Dobrze skrojony frak”, 2 spektakle	844 — 100%
TEATR WIELKI		„Kniaź Igor”, 1 spektakl	1276 — 100%
		„Carmen”, 1 spektakl	1276 — 100%
		„Halka”, 1 spektakl	1020 — 80%
		„Pan Twardowski”, 1 spektakl	1276 — 100%
TŻŁ		„Straszny Dwór”, 1 spektakl	1130 — 90%
		„Ktoś nowy”, 5 spektakli	729 — 51%
OPERETKA		„Kamerdyner”, 5 spektakli	1393 — 92%
		„Domek trzech dziewcząt”, 6 spektakli	4394 — 66%

JANUSZ DUNIN

Wydawnictwa
Biblioteki
Uniwersyteckiej
w Łodzi

RECENZJA KUMOTERSKA

Publikacje różnego rodzaju instytucji, uczelni, bibliotek, muzeów, itp. choćby były przeznaczone dla szerszego grona odbiorców nieczęsto są omawiane na łamach naszej prasy, a w ostatnim czasie

obserwujemy znaczne ożywienie ruchu wydawniczego tego typu w Łodzi. Najnowsze katalogi Muzeum Sztuki należą do najciekawszych druku łódzkiej i zasłużyły sobie na osobne omówienie.

Zatrzymamy się dziś nad mniej efektownymi ale bardzo pożytecznymi wydawnictwami Biblioteki Uniwersyteckiej, która w ubiegłym roku akademickim po kilkuletniej przerwie opublikowała poza sprawozdaniem aż cztery książki. Pierwsza z nich to popularny „Informator dla czytelników” przeznaczony przede wszystkim dla studentów i roku i wszystkich nowych czytelniaków a głównie dla tych, którzy chcą wszystko wiedzieć a nie lubią pytać. Obok praktycznych informacji o korzystaniu z katalogów i czytelni książka zawiera szereg wiadomości dotyczących historii i zbiorów Biblioteki. Zaopatrzone na też jest w liczne fotografie gmachu i reprodukcje cennych eksponatów — może

wieć stanowić również pamiętnik zarówno dla osób zwiedzających Bibliotekę (dla obco krajowców zamieszczono „Summę”) i dla stałych czytelników „Patrzcie dzieci — to biblioteka, w której tatęś podał mamusię”. Głównym jednak celem tego wydawnictwa jest ułatwienie czytelnikowi dotarcia do książki, poinformowanie w jaki sposób Biblioteka Uniwersytecka może służyć każdemu, potrzebującemu naukowej lektury.

Druga książka Biblioteki — „Uniwersytet Łódźski w drugim dziesięcioleciu 1955—1965 — Materiały bibliograficzne” — dzieło pozornie suche, a przede wszystkim zawierające wiele informacji o ludziach nauki w naszym mieście, zdradza ono, kto i o czym w ostatnim okresie było wiele, naukowcy Uniwersytetu wydrukowali po nad 7.800 książek i artykułów w ponad 500 różnych czasopiśmie krajowych i zagranicznych. Brali też udział w redagowaniu 93 periodyków. Rozwój wyraża szczególnie, gdy się przypomni, że w pierwszym dziesięcioleciu UL było tylko 3.500 publikacji pracowników nauki. Książka przydatna dla wszystkich osób i instytucji współpracujących z Uniwersyteciem Łódzkim znajduje się w handlu księgarskim (65 zł).

Trzecią bardzo pożyteczną pracą wykonaną z inicjatywy Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich jest zważywszy 564-stronicowy „Centralny Katalog Czasopism Zagranicznych w bibliotekach łódzkich za lata 1955—1965”, zredagowany przez pracowników Biblioteki Uniwersyteckiej przy współpracy 55 łódzkich bibliotek naukowych. — Wreszcie może my odpowiedzieć na pytanie: jakie czasopiśmie zagraniczne znajdują się na terenie Łodzi i w jakich księgowniach. Katalog ten jest dostępny we wszystkich większych biblio-

tekach i instytucjach naukowych. Oprócz zadań informacyjnych „Katalog Centralny” może spełnić jeszcze jedną rolę, analiza jego zawartości winna spowodować lepsze zapoznanie łódzkiego ośrodka naukowego z czasopiśmiem, a wiemy, że są one dziś głównym kluczem do postępu wiedzy, a równocześnie kupno ich wymaga poważnych nakładów dewizowych. Materiały zawarte w Katalogu mogą przyczynić się do dalszego zacieśnienia współpracy bibliotek łódzkich, do wyeliminowania dublowania cennych periodyków z tzw. „krajów dolarowych” aby w konsekwencji zwiększyć ilość znajdujących się w Łodzi tytułów.

Wreszcie ostatnie wydawnictwo Biblioteki Uniwersyteckiej, które pragnę omówić nie ma tej lokalnej przydatności jak poprzednia. Ale jak wykazują sygnały może liczyć na zainteresowanie na całym świecie. Właśnie ukazała się

pierwsza część wielkiej pracy bibliograficznej wykonanej przez Weronikę Kubiak w oparciu o zbiory polskie, Związku Radzieckiego i innych krajów: „Języki bałtyckie, Bibliografia”. Temat może wydać się marginalny, bo na dobrą sprawę litewskim i łotewskim mówi zaledwie parę milionów ludzi, a staropruskim i jądrowskim w ogóle nikt dziś nie włada. Jednak zainteresowanie tymi językami jest na świecie ciągle bardzo żywe, bowiem przechowywały one wiele archaicznych elementów z okresu wspólnoty języków indoeuropejskich, dlatego nie może być historyka języka lub językoznawcy porównawczego, dla których problematyka języków bałtyckich byłaby zupełnie obca. Biblioteka Uniwersytecka liczy, że bibliografia Weroniki Kubiak będzie materiałem myślnym, za który uda się zdobyć dla Łodzi wiele cennych wydawnictw zagranicznych.

Po sześciu premierach

Na ten okazały gmach teatralny zwrócone są oczy całego miasta i nie tylko miasta. Noblesse oblige — każda premiera dyskutowana jest szeroko pod kątem doraźnych osiągnięć artystycznych i pod kątem celowości umieszczenia jej w repertuarze. A w ciągu półrocznej działalności Teatru Wielkiego ubierało się tych premier aż sześć. Z prośbą o ocenę poziomu artystycznego, dotychczasowej działalności i przyszłych perspektyw opery w Łodzi zwróciliśmy się do osób, które w dziedzinie muzyki, teatru i plastyki są w naszym mieście autorytetami.

KIEJSTUT BACEWICZ REKTOR WYŻSZEJ SZKOŁY MUZYCZNEJ

My tu w uczelni uważamy Operę Łódzką za nasze dziecko. 13 lat temu inicjatywa stworzenia tej placówki wyszła z WSM, stąd rekrutowało się kierownictwo artystyczne i pierwsi wykonawcy. Dziś powiązania są wciąż bliskie; kompletując własną orkiestrę operową dyrektor Latoszewski sięgnął do naszej szkoły. Orkiestra Teatru Wielkiego składa się w 1/2 z absolwentów i studentów WSM. Są to ludzie o wysokich kwalifikacjach artystycznych, co pozwala wierzyć w dalszy rozwój aparatu orkiestrowego.

Nie chciałbym wypowiadać się bardziej szczegółowo o przedstawieniach Teatru Wielkiego, zostawiając to kolegom parającym się pisaniem recenzji. Ogólnie oceniam osiągnięcia tego teatru wysoko i żywie przekonanie, że pewne niedociągnięcia, nieuniknione w pracy tak młodego organizmu artystycznego, startującego przed 13 laty w wyjątkowo trudnych warunkach gospodarczych — zostaną szybko zlikwidowane. Zadania Opery Łódzkiej są szczególnego rodzaju. W krótkim czasie awansowała do rzędu czołowych scen w kraju, co zobowiązuje do realizacji trudnych i ambitnych. Z drugiej strony w dalszym ciągu spełniać musi zadania dydaktyczne. Jest to bardzo trudne. I z tego właśnie punktu widzenia uważam dotychczasowy zestaw repertuaru za słuszny.

Niedawno uczestniczyłem w dyskusji nad planami repertuarowymi Teatru Wielkiego. Na rok 1968 kierownictwo teatru zaproponowało między innymi: Nicolai — „Kumoszki z Windsoru” Verdi — „Tosca”, Bernstein — „West-Side Story”, Paciorzewicz — „Panienka z okienka”, Bliss — „Schach-Matt”, Strauss — „Bal kadetów”, Jost — „Zielony stół”, Mozart — „Così fan tutte” oraz jakiś balet dla dzieci. Na rok 1969 zaproponowano: Cilea — „Adriana Lecouvreur”, Britten — „Peter Grimes” lub Deshay — „Sad nad Lukullusem”, Verdi — „Otello”, Offenbach — „Orfeusz w piekle”, Menotti — „Amelia idzie na bal”.

Plany repertuarowe uwzględniają więc wszelkie gatunki sztuki operowej, a nawet operetkę i musical. Kierownictwo Teatru Wielkiego powinno i sadzę że będzie, kontynuować dzieło edukacji muzycznej społeczeństwa Łodzi (w tej dziedzinie uważam minione 13 lat działalności Opery za kawał dobrej roboty) także poprzez nowe formy sztuki operowej, która wbrew krakowi niektórym jest sztuką rozwijającą się.

Jestem przekonany, że kierownictwo Teatru Wielkiego sprosta tym zadaniom. Spoczywa ono przecież w rękach tak świetnych specjalistów, jak dr Zygmunt Latoszewski, jeden z najlepszych znawców sztuki operowej w kraju, jak Witold Borkowski, który objął w Operze bodaj najwęższy odcinek — balet, a już osiągnął efekty b. poważne, jak Stanisław Piotrowski, znakomity administrator i organizator.

STEFAN MARCZYK DYREKTOR FILHARMONII ŁÓDZKIEJ

Dotychczasowy dobór repertuaru wydaje mi się prawidłowy jeśli założymy, że celem pierwszego okresu działalności Teatru Wielkiego jest zdobycie masowego widza, przyciągnięcie jak największej rzeszy miłośników „śpiewanego dramatu”. XIX-wieczna opera mieszczańska jest kasowym pewniakiem i wciąż jeszcze cieszy się największą popularnością dzięki melodyjności, sentymentalnej fabule, mimo czasami różnych wartości artystycznych.

To, co najbardziej może uderzyło mnie na nowej scenie Opery Łódzkiej, to nieoczekiwanie wysoki poziom zespołu baletowego. Wiemy przecież, że w poprzednich warunkach lokalowych zespół ten, niewielki zresztą, nie miał możliwości rozwoju, że Łódź, jako jedyny chyba ośrodek operowy w kraju, nie ma szkoły baletowej. Mimo to balet Teatru Wielkiego jest jednym z najlepszych.

Stwierdzić więc uważam za szczęśliwy, jestem zaś przekonany, że w warunkach, jakie stwarza gmach Teatru Wielkiego, z biegiem czasu kierownictwo artystyczne zadba o to, by na scenie znalazły się i wielkie widowiska operowe i pozycje mniej ograniczone, a wartościowe artystycznie. Że będziemy chodzili na premiery pozycji z repertuaru dawnego (Gluck, Haendel, Mozart) i nowszego, a także całkiem współczesnego. Osobiście żyję Operze znakomitych solistów i zawsze trafnej obsady we wszystkich przedstawieniach.

A nawiązując do mojego podwórka muszę przyznać, że obawiliśmy się trochę, iż otwarcie Teatru Wielkiego wpłynie ujemnie na frekwencję w Filharmonii. Tymczasem nie podobnego się nie stało, myślę więc, że działalność obu placówek muzycznych powinna mieć znaczenie wychowawcze, rozwijające zamiłowanie muzyczne. I że może być to działalność uzupełniająca, przynosząca obu placówkom płon w postaci coraz rosnącej liczby miłośników dobrej muzyki.

DOC. DR STANISŁAW KASZYŃSKI TEATROLOG

Osobiście bałem się startu Opery, tymczasem był on bardzo udany. Co nie jest jeszcze świadectwem rangi artystycznej Teatru Wielkiego ani zasługą dyrekcji, lecz wyrazem społecznej ciekawości i dobrej reklamy, która poprzedziła otwarcie teatru.

Dotychczas pokazany przez Teatr Wielki repertuar jest słuszny pod warunkiem, że ma to być repertuar edukacyjny. Ale jeśli tak jest, to przecież Opera w pewnym stopniu przekreśliła swoją poprzednią 13-letnią działalność — robotę „szkoły” przygotowującej do teatru operowego. Dziwić się, że nie wykorzystano runu na operę, wielkiego zainteresowania się publiczności, by pokazać choć jedną pozycję nowoczesną, choćby Berga czy Strawińskiego.

W Teatrze Wielkim widziałem na razie dwa przedstawienia, z tych upamiętnił mi

się „Książę Igor”; o nim słów kilka. Wbrew przeważającej opinii (np. niepokojąco superlatywna ocena p. A. Grzybowski) — czy odnajdź w swym słowniku właściwe określenia, gdy nadarzy się okazja oglądania rzeczywiście wybitnej inscenizacji! Uważam np. rozwiązanie scenograficzne Mariana Stańczaka za niezbyt oryginalne, tak samo zresztą jak reżyserię światła. Liczyłem na to, że w Teatrze Wielkim na scenę spadnie huragan światła, tymczasem... ciemności kryły scenę. Z oświetleniem na scenach polskich w ogóle nie jest dobrze i Teatr Wielki nie uczynił przełomu. Wielkiemu magikowi światła Appii byłoby zapewne przykro, że jego zdobycze nie zostały wykorzystane. Inszenizacja „Igora” przypomina sztampowe rozwiązania operowe, polegające na zabudowie przestrzeni scenicznej, zamiast jej zorganizowania przy jednym wyznaczniku tematycznym. Nie fragment, nie aluzja, lecz całkowita zabudowa sceny, układ przestrzeni na zasadzie symetrii, góra nie wykorzystana — akcja toczy się cały czas w jednej płaszczyźnie.

Niewątpliwym choć pośrednim sukcesem istnienia Opery jest fakt, że Łódzkie grono teatrologiczne zainteresowało się teatrem muzycznym (operą). Ja sam oglądałem i czytałem wiele z tego zakresu i jako człowiek zajmujący się teatrem chcę powiedzieć, że istnieje szansa na powstanie prac naukowych o operze tak, jak powstały w naszym ośrodku prace naukowe na temat teatru lalkowego.

Jeżeli nasza Opera ma spełniać zadania dydaktyczne, a to zdaje się wynikać z jej dotychczasowego repertuaru, to powinna ona wzbogacić swą działalność propagującą tę sztukę. A więc na przykład poniedziałki w kawiarni teatralnej mogłyby być połączone m. in. z odczytami wprowadzającymi w historię teatru muzycznego. Jeśli edukacja, to wykłady z historii opery, artykuły w programach, a nawet przed niektórymi przedstawieniami (dla młodzieży czy zakładów pracy) — pogadanki wprowadzające.

ZDZISŁAW GŁOWACKI REKTOR WYŻSZEJ SZKOŁY SZTUK PLASTYCZNYCH

W przypadku Opery Łódzkiej sprawdziła się teoria mitu, którą głoszą z uporem. Mit wokół zjawisk artystycznych to właściwie pojęta propaganda — informacja, krytyka, popularyzacja. Potrzeba takiego mitu rozumie się za granicą — mitem otacza się tam twórców i ich dzieła, stwarza się atmosferę niewykłósteł budzącą szerokie zainteresowanie. U nas wciąż tego jest za mało. Ale właśnie wokół Teatru Wielkiego stworzono atmosferę zainteresowania i oto istniejąca skromnie 13 lat Opera Łódzka stała się nagle sławną. Teraz sprawa kierownictwa teatru jest atmosferą te wykorzystał, zainteresowanie utrzymać i powiększać. Sprawić, by widk, który przyszedł po raz pierwszy z ciekawości, potem przychodził z wewnętrznej potrzeby.

Mnie, jako plastyka, interesuje szczególnie scenografia. Ogrom sceny (tak wielkiej jeszcze w Łodzi nie było) sprawił realizatorom pierwszych przedstawień sporo kłopotu i stał pewnie nieudolności scenograficzno-techniczne. Ale daje on także nieograniczone wręcz możliwości wykorzystywania scen dla różnych koncepcji plastycznych. Ja osobiście jestem zwolennikiem scenografii bardziej skrótovej, nie za bardzo grającej, stanowiącej wierne tło dla ducha i atmosfery ukazwanej epoki, ale poprzez nowoczesne środki wyrazu artystycznego. Byłbym też za eksperymentem. A może kiedyś, jakąś operę tylko na kotarach?

Jeśli idzie o repertuar, to myślę, że w naszych warunkach powinien być jak najbardziej wszechstronny — od klasyki po awangardę. Oczywiście to sprawa przyszłości, pierwszy okres musi być zawsze okresem poszukiwań — i form artystycznych i widza. Jestem przekonany, że nasza opera będzie operą świetną. Ma przecież ku temu wszelkie warunki. Otacza ją mił — a to zobowiązuje.

Tele-obiektyw

„Edyp” w konfekcji miarowej

W 431 roku przed naszą erą Sofokles wystawił „Kroia Edypa” w amfiteatrze ateńskim. Amfiteatr antyczny odbiegał znacznie kształtem od współczesnego teatru. Widownia spływająca po bokach ku scenie zwanej orkestrą powodowała, że aktorzy podczas gry otoczeni byli przez widzów z trzech stron. O ile przy tym widzowie siedzący w najniższych rzędach patrzyli na wykonawców w sposób zwyczajny, to jest, że linia ich wzroku była równoległa do powierzchni ziemi, o tyle wyższe rzędy spoglądały pod różnymi kątami, tworzącymi w zależności od miejsca rozmaite deformujące skróty.

Widzowie w najwyższych rzędach znajdowali się już w znacznej odległości od orkiestry, co przy ówczesnym braku urządzeń optycznych w rodzaju lornetek utrudniało widzenie. Zacierły się rysy twarzy aktorów, mały ich sylwetki. Dlatego mimiką aktorów zastępowano bardziej czytelnymi maskami, zmienianymi przez wykonawców w związku z aktualną sytuacją tragiczną, komediową itp. Aby powiększyć zaś aktora i uczynić go lepiej widzialnym, stosowano koturny. Jednym nie rozbiono głębię zabiegów w celu nagłośnienia, a to ze względu na nie zbadaną do dziś dnia akustyczność amfiteatrów greckich.

Piszę o tym wszystkim nie po to, by obdawać czytelnika wykładem o teatrze staro-greckim. W felietonie telewizyjnym wszystko zmierza do spraw związanych z telewizją. Chodzi mi o przydatność antycznego dramatu dla sztuki małego ekranu.

Sztuki antyczne od dawna trapały twórców jako interesujące twory teatralne. Pamiętam, że Kazimierz Dejmek planował wy-stawienie „Kroia Edypa” w telewizji łódzkiej przed osmiu laty. Twierdził, w rozmowie ze mną że białoczerwony obraz telewizyjny znakomicie oddałby moją plastykę greckiego dramatu. Do wzmiarkowanej inscenizacji wówczas nie doszło.

Doszło natomiast w ubiegłym tygodniu w reżyserii Jerzego Gruzy. Dowiadując się realizator telewizyjny, mający na swoim koncie wiele znakomitych widowisk, nie próbował skorzystać z możliwości inscenizacyjnych, jakie dramaturgi greccy dają telewizji. Odciał się od całej tradycji wiedzy o teatrze greckim i sztuce Sofoklesa potraktował, jak współczesny materiał tekstowy.

Rezygnacja z widowiskowości skupiła uwagę reżysera na słowie i na zblizeniu aktora. Dekoracje ograniczyły się do fakturystyki i Kostiumy. Przed tygodniem pisałem o niezrozumiałym zastosowaniu polskiego stroju szlacheckiego w sztuce Corneille’a „Cydy” w staropolskich deliach. Gruza pokazał „Edypa” we wzorach współczesnego przemysłu odzieżowego.

Tym razem intencja reżysera była jasna. Idąc na anachronizm kostiumu, podkreślił chęć nieprzemijającą aktualności sztuki, która jest skrzyżowaniem „Kobry” w antycznym wydaniu z egzystencjalistycznym zadaniem nad kruchością ludzkiego szczęścia i zmiennością losu.

Zastosowanie współczesnych strojów w „Edypie” nie jest zabiegiem wyłącznie plastycznym, czy formalnym. Inaczej gra aktor ubrany w chiton czy peplos, a inaczej w sportowej marynarce. W pierwszym wypadku stara się wczuć w ducha epoki, wzbogaca interpretację o swą znajomość przeszłości, w drugim — gra człowieka współczesnego, tkwiącego w teraźniejszości.

W ten sposób bada się wytrzymałość tekstu na próbę czasu. „Edyp” wychodzi z próby zwycięsko. Jest w tym wydaniu oczywiście inny, odarty z patetyczności, zwyczajny. Ale ta zwyczajność dzięki świetnej interpretacji wykonawców głównych ról nie kasuje wymiaru tragedii Edypa.

Gustaw Holoubek nasycił stopniowo postać tytułową gniewem, by potem zepchnąć ją w czelność meki Hiona. Jak zwykle operę środkami aktorskimi bardzo oszczędnie gra i intelektualnym skupieniem. Jego Edyp nie buntuje się przeciw okrutnemu losowi. Jest niewinny i winny zarazem. Niewinny, gdyż nieświadomy ogromu popełnionych przez tragiczny przypadek przestępstw. Winny, bo ulegający gwałtowności swej natury.

Jokasta w ujęciu Ireny Eichlerówny to uosobienie kobiecej mądrości i doświadczenia. W jej umiarkowanym smutku kryje się świadomość beznadziejności wszelkich prób zatrzymania Edypa w jego pedale ku samobójczestwu.

Wieczór spędzony na oglądaniu „Edypa” był interesujący, przepiękny, treścią. A swoją drogą trochę szkoda, że wyczuwano historyczny sztafaj i surową widowiskowość rodem z antyku!

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

O FILMACH DOBRZE I ŹLE



Disneyland. Ci, co oglądali twierdzą, iż bez większego trudu można się w nim poddać uroczym magii świata stworzonych pozorów. Stanisław Dygat nadając swej powieści tytuł „Disneyland”, narzucił jej czytelnikom jedną interpretację i ocenę przeżytków głównego bohatera. Mały świat Marka Arensa, bohatera, który pozor-

nie wyszedł z tłumu anonimowych mieszkanców rodzimego „Disneylandu”, posłużył Dygatowi w charakterystyce wcale nieodrodnego mitów i wzorców moralno-obyczajowych. Ich ocena zawarta była w ogólnym klimacie powieści, w której dominowała precyzyjnie podana lecz wyraźna nuta satyry społecznej. Ta powieść postuluje Januszowi Morgensternowi do zrobienia filmu o niezwykle wdzicznym a tajemniczym tytule. Zamiast „Disneylandu” otrzymaliśmy „JOWITE”.

Ta zmiana tytułu jest wyrazem niewątpliwej uciwłości filmowego twórcy. Trudno jest zwykłym śmiertelnym zrozumieć duszę artysty. O swych intencjach mówił sam artysta (J. Morgenstern) w ten sposób: „Disneyland” zawiera wyraźne akcenty satyry społecznej — natomiast ja realizuję „Jowite” jako film psychologiczno-obyczajowy”. („Film” nr 50/56). Ma się w rękę dobra powieść, której sens zostaje społecznie sprawdzony, robi się z niej inny film. Można i tak, tylko dlaczego i po co? Na odpowiedź czekaliśmy dość długo, bo jak powszechnie wiadomo produkcja filmu trwa w Polsce niezbyt krótko. Najgorsze jest jednak to, iż w tej chwili pytamy znów „po co?”. Nie pytamy już dlatego adaptowano powieść na film, odpowiedź jest wiele i wszystkie są oczywiste i słuszne. Pytamy tylko jak to się dzieje, że z dobrych książek robi się zle film, dlaczego tak często, tak trudno ludziom filmu zrealizować zadania, jakie sobie stawiają, trudno sprostować wymaganiom, jakie stawia sama adaptowana książka, a tym bardziej dać z siebie więcej aniżeli zdolni do zrobienia pisarz. Morgenstern przyśpieszając do adaptacji powieści Dygata, nie zamierzał może dawać więcej, chciał, jak sam mówi, zrobić film in-

ny. I film, w porównaniu z książką jest rzeczywiście inny, gorzej, że nie tylko w gatunku, ale i w swej wartości poznawczej i artystycznej, mimo iż „Disneyland”, jak powszechnie wiadomo wcale nie jest w twórczości Dygata pozycją najwybitniejszą.

Morgenstern popełnił kardynalną pomyłkę, nie można bez uszczerbku dla głównej idei przekładać satyrę na dram. Świat, który w książce obdarzony epitetem „Disneylandu” miał się w filmie stać tem i tematem głębokiego dramatu. W efekcie zgubiono satyrę, a nie zdołano nakreślić, nie mówić już o pogłębieciu, rysów tragicznych w życiu głównego bohatera. Dla czego wszystkie sytuacje oraz przebieg i myśli Marka Arensa były w powieści wielkim banałem, grą pozorów, wiedzieliśmy. To przecież było jej tematem. Kiedy ten banal wyraża z każdej sceny filmu, który miał być dramatem psychologicznym i obyczajowym to zaczyna działać się źle. Nie ma w „Jowicie” dramatu bohatera, bo jest on żaden. Zaprezentowano nam zbiór stereotypów. Były one również w książce Dygata. Słuszny był nak, powtarzam to jeszcze raz, innym celem. Tutaj, w filmie stereotypy te stają się wprost nieznosne. Obracamy się bez przerwy w świecie ustalonych w naszym społeczeństwie wyobrażeń, bez względu na to czy dotyczą pewnych postaw charakterologicznych i moralnych, czy obrazów ilustrujących pewne przejawy życia społecznego i obyczajowego. Począwszy od głównego bohatera, a skończywszy na tajemniczej Jowicie nie ma w tym filmie ani jednej postaci, o której nie wiedzielibyśmy od razu wszystkiego. Wiemy co będą bohaterowie mówić, jak będą się zachowywać, wiemy z góry jak nas poinformują o tym, jaki zawo-

wykonuje Marek, jak podrywa dziewczynę i jak ją kocha. Więcej, wiemy, jak zostaną zaaranżowane pewne sytuacje, w jakich okolicznościach się rozegrają, czym skończą. Nie ma niespodzianek.

Morgenstern bezwiednie swym filmem poszerzył jeszcze obraz świata Dygatowskiego „Disneylandu”. Do jego opowieści o świecie pozorów dołożył jeszcze jeden. Zrobił film pozorów, w nim niby prawdy o ludziach, pozory ich dramatów. Jest wreszcie pozornie dobry film. Dobry, bo sprawny, nie zrealizowany. I można się na to zapaść.

A swoją drogą kino to dziwna instytucja. W filmie, który nas drażni i irytuje słyszymy i oglądamy wielką Wanę Wilkomirską, podziwiamy ją, więcej — stwierdzamy, że dzięki niej, wziętej z innego, autentycznego świata znajdujemy w filmie temat (na pewno B. Tomaszewski w swym felietonie w „Kulturze” będzie o tym pisał), który nas zafrapuje — różnice i podobieństwa drogi osłaniają wirtuozem maksymalnej w jak różnych dziedzinach życia jak sztuka i sport. Daniel Olbrychski poza uznaniem dla swej młodości, a już świadomej aktorskiej pasji, budzić będzie podobnie swymi naprawdę nieposiedniami talentami sportowymi i urokiem własnej osobowości. Kalina Jedrusik określi w tym filmie własnymi ustami przyczynę swej porażki w roli Heleny. Barbara Kwiatkowska, mimo wielu wcześniejszych, złosiwych komentarzy, przypomniała nam się w sposób zupełnie sympatyczny. Zbigniew Cybulski spieszący się w tym filmie na pogód do Warszawy nasunie refleksje, które odsuną od razu niespo-

sób. Nieoczekiwanie chyba dla samych twórców myśli się na tym filmie o rzeczach, które są niejako poza nim. Dodać do tego jeszcze musimy, że całe to przedsięwzięcie firmują jednak oprócz J. Morgensterna, T. Konwicki jako scenarzysty i S. Dygat jako autor dialogów. Trudno jest, jak się rzekło, zrozumieć duszę artystów, trudno oprzeć się kinu, nawet jeśli jest złe. Trudno było również oprzeć się pokusie napisania przy okazji „Jowity” więcej słów, aniżeli limit przyznanych mi wierszy pozwala. Mam nadzieję, że Czytelnicy i mój Naczelny wybaczą, jeśli o drugim dniu omawianych filmie tylko napomknę, sygnalizując sprawy, do których niedługo powrócę. Myślę tu o nowym radzieckim filmie „MROZNY PORANEK”, opowieści o ludziach, którzy tragicznych dniach walki „Leningrad” w czasie hitlerowskiego oblężenia swa postawą dawali wyraz najgłębszych uczuć i praw do miasta, które chcieli im zabrać. „Mroźny poranek” będzie jedną z tych nowych pozycji, które obierają w ramach wielkiego festiwalu filmów radzieckich, który zorganizowany będzie z okazji 50 rocznicy Wielkiej Rewolucji Październikowej. Czekam na wielki przegląd tego, co w kinematografii najlepsze i najciekawsze, czekają nas premiery (np. „Wojna i pokój” Bondarczuka), i przeglądy retrospektywne, na które złoży się wno Wrocia klasyki filmu radzieckiego (np. „Pancernik Potiomkin”), „Iwan Groźny”, „Wojna, Woja” oraz takie cykliczne tematy jak adaptacje literackie, filmy batalistyczne, komedie itp. Do tych filmów powrócimy, gdy wejdą na nasze ekrany.

EWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrepcje



Constantin Brancusi: „Pocałunek”.

BRANCUSI

■ Dziesięć lat temu zmarł Brancusi. Rocznicę tę uczcił zarówno Paryż, gdzie otwarta została wystawa jego rysunków, jak i Bukareszt, gdzie w dniach między 12 a 20 października br. odbędzie się międzynarodowe sympozjum poświęcone życiu i twórczości rumuńskiego rzeźbiarza.

Brancusi po ukończeniu z odznaczeniem szkoły sztuk pięknych w Bukareszcie, przebywał jakiś czas w Wiedniu, po czym udaje się do Paryża, ówczesnej Mekki wszystkich artystów. Brancusiego nie stać na podróż koleją, wobec czego idzie piechotą. Długa to była i ciężka droga. Zarabiał czym mógł, w Szwajcarii sprzedając zegarek, aby nie umrzeć z głodu. W Alzacji przylapuje go ulewny deszcz w szarym polu i Brancusi ciężko choruje. Po blisko rocznej wędrówce Brancusi dobiera wreszcie do Paryża. Przez dłuższy czas cierpi tu skrajną nudę. Chwyta się rozmaitych zarobków, aby wyżyć i móc się kształcić. M. in. pracuje jako pomocnik w restauracji. Jest stale zadłużony. Z pomocą przechodzi mu związek studentów rumuńskich, który organi-

zuje loterię, aby z dochodów z niej pomóc rodakowi. Główną wygraną na loterii jest rzeźba dziewczyny, dłuta Brancusiego. I oto dzieło rzeź-



C. Brancusi: „Portret kobiety”.

biarza wygrywa bogaty Victor N. Popp. Zachwyceni figurką dziewczyny, postanawia zaopiekować się Brancusim. Urządza mu atelier i dopomaga finansowo. W roku 1905 Brancusi otrzymuje stypendium z Rumunii w wysokości 600 franków rocznie. W roku 1907 urządza swoją pierwszą wystawę. Artysta, w którego początkach twórczości znaczący wpływ wywarł Rodin, coraz bardziej oddala się od stylu swego mistrza. Zaprzysiężnia się z Apollinai-rem, jest serdecznym przyjacielem celnika Rousseau (to Brancusi wyrył

wiersze Apollinai-rea na grobie celnika Rousseau). poznaje i zbliża się do takich wybitnych artystów jak Picasso, Modigliani, Marcel Duchamp. Wraz z wielkimi surrealistami: Brancusi wystawia swoje rzeźby w Zurychu (1929) i w Londynie (1939). Uprawia następnie rzeźbę abstrakcyjną. Z wojną zdobywa sławę i uznanie zarówno w ojczystej Rumunii jak i w całym świecie.

Znaczna popularność cieszą się dzieła Brancusiego w Stanach Zjednoczonych, gdzie obecnie znajdują się jego 92 rzeźby w trzech najważniejszych muzeach i w rękach prywatnych kolekcjonerów.

DWUDZIESTY DRUGI TEATR W GRUZI

■ Radziecka „Kultura i Sztuka” przynosi wiadomość o otwarciu jeszcze jednego, 22-go teatru w Gruzji, w mieście Rustawi.

„Łącznie ze sztukami współczesnymi gruzińskich dramaturgów grane bę-

RYUNKI FLAUBERTA

■ Niedawno w Paryżu został sprzedany rękopis Flauberta, który ma ważne znaczenie dla interesujących się warsztatem pisarskim autora „Madame Bovary”. Rękopis ma sześćdziesiąt osiem stron. Jest tam wiele uwag, wypisków i notatek, które sporządzał Flaubert zbierając materiał historyczny dla na-

da w naszym repertuarze dzieła klasyków rosyjskich, gruzińskich i zachodnioeuropejskich” — powiedział dyrektor i kierownik artystyczny nowego otwartego teatru. — „W naszym pierwszym sezonie teatralnym wystawimy komedie P. Kabadze „Kwarkwari Tabieri” i sztuki Rostand „Cyrano de Bergerac”. Specjalnie dla nas napisali swoje sztuki pisarze Riewaz Tabukaszwilli i Otija Ioceliani. Uroczyste otwarcie teatru nastąpi w przeddzień 50-lecia Wielkiego Października”.

NOWY TARZAN

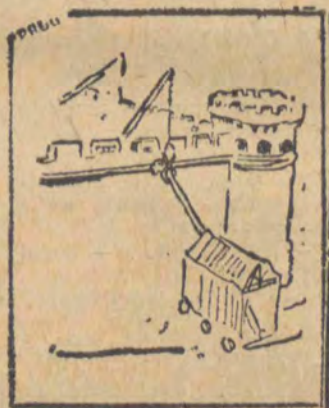
■ Francuska telewizja przy współpracy telewizji kilku krajów Afryki przystępuje do nakręcania filmu o Tarzanie. Tym razem w filmie wystąpi aktorzy wyłącznie czarni.

FILM O OWIDIUSZU

■ Giuseppe de Santis po długiej przerwie znowu podejmuje prace reżyserską. Wraz z reżyserem rumuńskim będzie realizował film o życiu Owidiusza. Jak wiadomo wielki rzymski poeta w 8 roku n.e. był zesłany na wygnanie do miasteczka Tomi (dzisiejsza Konstancja w Rumunii).

Będzie to pierwszy film nakręcony przy współpracy włosko-rumuńskiej.

pisania powieści „Salambo”. Czytał Ksenofonta i innych historyków, aby w najdrobniejszych szczegółach przedstawić wojenną taktykę i strategię z czasów Hammurabi. Na stronach rękopisu znajdują się także rysunki wykonane przez Flauberta. Świadczy one o tym, że pisarz starał się przedstawić sobie obrazowo momenty bitewne.



„MSZA DLA WSPÓŁCZESNOŚCI”

■ Tak jest tytuł nowego widowiska baletowego, jakie Maurice Béjart wystawił na zakończenie Festiwalu w Avignionie. „Msza dla współczesności” jest równocześnie baletem i chybą przede wszystkim baletem, ale także kantatą i operą, poematem i dramatem. U podstaw widowiska legły béjartowska filozofia i mistycyzm. Słychać muzykę Dalekiego Wschodu i rytm najmłodniejszych tańców,

werble żołnierskie i głosy fletu, padają ze sceny cytaty z Nietzschego, teksty Buddy i strofy „Pieśni nad pieśniami”. Akto-ry tańczą w klasycznych baletowych trykotach, albo w dżinsach. Béjart, jak twierdzą zgodni recenzenci, dał widowisko oryginalne i fascynujące, pokazał swe mistrzostwo i mistrzostwo wykonawców, ale równocześnie krytycy zdają się być zgodni co do tego, że Maurice Béjart jest znacznie lepszym choreografem niż myślicielem i filozofem.

MA TYLE LAT CO WIEŻA EIFFLA

■ „Ma tyleż lat co wieża Eiffla i trzyma się równie świetnie jak ona” — czytamy w paryskim

„Le Figaro” przypominając, że filmowa kariera Chevaliera rozpoczęła się jeszcze przed pierwszą wojną światową. Do dziś ma on na swym koncie 40 filmów, w których



Maurice Chevalier

„Cinéma”, „Music-hall” przynosi mu sławę: piosenki majątek”. I dalej: „To film zachował jego wieczną młodość”. „Jakiż jestem szczęśliwy, że nie jestem już młody” — śpiewa Maurice Chevalier w filmie „Gigi”.

Z okazji ukończenia przez Chevaliera 79 lat telewizja francuska nadała w jednym tylko tygodniu trzy filmy, w których gra piosenkarz i artysta zawsze popularny — Maurice Chevalier.

występował. Z tego blisko połowa to filmy krócone poza granicami Francji. Teraz w przededniu swego osiemdziesięciolecia Maurice Chevalier zamierza wystąpić ze swym programem w telewizji. Ale jeszcze nim to nastąpi, francuscy telewizorzy będą mogli ujrzeć na małym ekranie, w listopadzie tego roku, Maurice Chevaliera w specjalnej audycji, poświęconej jego życiu i artystycznej działalności, a zatytułowanej „C'est la vie”.

Notatki na MARGINESIE

Prasa zachodnia ma swój nowy zwiast: Pamiętniki Światłany Aliejujowej. Pierwsze odcinki wyznań rozkaprysznej neuraszniczki która po długim, burzliwym osobistym życiu (ślubnych tylko czterech czy pięciu) ma Hindus na wrócić na mistycyzm, o- tóż te zapowiadane jako sensacja pamiętniki już przedrukowały wszystkie wielkie pisma od „Observera” po „Siegela”.

P.S. „Cwiliery, twór cin de siecle'u — znów, jak wszystko co stworzyła secesja, bardzo modne!

Boże, jaka jest sucha i trocinasta nasza sprawa-rodzawość prasowa. Nic humoru, nie dowcipu, sama zasadniczość. Był de Gaulle, odjechał de Gaulle. Nasze pisma TV, kronika pokazały uściski dłoni, oficjalne i półoficjalne uśmiechy. Aha! I tylko prasa katolicka lata jeszcze zdjęcie infułatki bijącego przed prezydentem (za- wszeż to obokrajowiec!) nabożne pokłony.

A „Paris Match” zamieścił m. in. również i zdjęcie wianowskich stolarzy, w pocie czoła przedłużających dla de

Gaulle'a łóżko króla Jana III Sobieskiego. Wielce mi się to zdjęcie spodobało: oto symbol przedłużania w nasze czasy dawnych przyjaźni.

P.S. Łóżko przedłużono o 25 cm.

Mamy mnóstwo nowych doskonałych płyt. Tym razem to longplaye brzmią nieleż a ich repertuar jest non plus ultra. I tak: Rawik (Joanna) posępna i duszopiecząca.

Demarczyk (Ewa) posępna i wstrząsająca. Osiecka (Agnieszka) ży- ciowo-niewesoła. Młynarski (Wojciech) zyciowo-sarkastyczny. Na tym tle w innej tonacji pobrzmiwa tylko Chyla — świetny i co ważne, rozweselający. Ale dopiero nowy longplay Starszych Panów (dlaczego dopiero trzecia ich płyta?) wprawia nas w humorek, nabawa optymizmu, pozwala cieszyć się z cnót (własnych i cudzych) radować grzeszkami (własnymi i cudzymi) i z ponuraków

ukształtowanych przez pracowitą i konsekwentną, acz przygnębiającą polską piosenkę zmienia nas w pogodnych, afirmujących to nasze niewy- miennie życie Polaków, którzy, jak wiadomo, uchodzą za ludzi wesołych i dowcipnych.

Jeśli już mówimy o świetnych lub wręcz genialnych (bez przesady!) twórcach nowej polskiej piosenki to warto zauważyć że wszyscy oni się jakoś tak chytliwie (jak Chyla) przeszarco- wali, przeszmuglowali, przekontrabandzili do naszego „Parnasu na 33” obrótów” za plecami sil- nej, zwartej i gotowej mafiodintory do niedaw- na tak bezwzględnie na- rzucającej nam swe gu- sty wynikające ze swych interesów. Co nie znaczy że owe „czynnik decy- dujące” o naszej piosen- ce skapitulowały przed Starszymi Panami. Osie- ka, Młynarskim i Chyla. Wydaje się raczej, że mamy do czynienia z przymusową koegzysten- cją. Ale to już nieleż.

Początkowo wydawało się, że to tylko szepciana propaganda. Potem wieść poszła w lud i została empirycznie sprawdzona: zaiste, mamy polską ko- medię, na której można się pośmiać. Obejrzałem tych „Samych swoich”, śmiałem się ostrożnie, półgębkiem żeby nie za- urozić a potem z tro- ską, rozmyślałem o tym, jak na te śmieszna(!) ko- medie zareaguje nasz klan filmowych ponura- ków, którzy to z filmu polskiego uczynili spraw- ne, ogólnonarodowe na- rzędzie tortur.

Różne alfabety i tran- skrypcje na pewno nie służą sprawie zbliżenia międzynarodowego. A czasem dzięki nim pow- stają prawdziwie szarady.

W „Cinéma” zna- lazłem notatkę o filmie pt. ZOŚSIA, w którym główną rolę kobiecą gra Pola Raska, a operato- rem był plus grand opé- rateur polonais Erji Lip- man. I tylko w całej tej not- ce zdjęcie Poli Rasky

jest autentycznie urocz- e i niewykoślawione.

A w Warszawie nowe tysiączlotówki nazywa- ją „izakami”. Wydaje mi się, że zaopatrzenie w izaki jest w Warszawie lepsze niż w Łodzi.

Wesołe jest życie sło- mianego wdowca. Na nie dziele kupiłem sobie fla- ki konserwowe w słoiku. W poniedziałek, wto- rek i środe żyć mi się z tego powodu nie chla- ło. W czwartek już pe- len nowych sił do ro- zróby pobiegłem do mo- jego spółdzielni.

Byłaby mnie pani o- trula tymi flakami — krzyczę do ekspedientki. — Cieszkę po nich choro- wałem.

A to możliwe — od- powiada mi spokojnie pa- ni zza lady — pan kie- rownik jak ich spróbo- wał tydzień temu, też to odchorował.

Bez strachu

PODWÓJNE ŻYCIE

Stanem jeszcze bardziej upokarzającym humanistę niż doznawanie lęku jest fakt wzbudzenia lęku u innych. „Boja się mnie” — to brzmi tak jak „Je- stem lotem”. Jak zatem osiągnąć stan, w którym złożony człowiek współ- czesny przestaje być źród- łem lęku u innych?

Ktoś ostrzegł kogoś przed mną: „Uważaj, to człowiek o podwójnym życiu. Co my właściwie o nim wiemy?” I obaj, ostrzegający i ostrzegany, zdrżeli. Przypomnieli so- bie, że raz chodząc odziany w szary płaszcz a kiedy indziej w czar- ne palto. Widziano mnie w okularach i bez oku- larów. Jechałem tramwa- jem na Chojny, innym ra- zem na Bałuty. Podobno nawet spędziłem kiedyś cały dzień w Warszawie.

Doskonale rozumiem lęk tych dwóch — oni mają życie pojedyncze, może nawet półkowe... Wie- kszosc z nas to ludzie o podwójnym, potrójnym, ba, potysięcznym życiu. Jak wielu mamy Przylaci- ół i Wrogów, jak wielu niebezpiecznie Obje- ńnych. W jakich ubiorach i pod jakim niebem od- bywamy przechadzki... Przez jakie szkła oglądamy świat, ba, tysiące różnych i latów...

Dobrze chociaż, że te dwa tchórzliwe bęcwały dostrzegły podwójność mojego życia. Ale to przecież ludzie, ludzie- tchórze, ludzie-bęcwały, ale ludzie — pojedynczy, półkowki przez to nie- współcześni. Jakże mam uleczyć ich z lęku i jak pozbyć się upokarzającej myśli o tym, że wzu- dzam ich lęk. Trzeba im chyba cierpliwie wkładać własną wielokrotność. Oto kilka jej elementów: czło- wiek dążący do pracy ar- tystycznej dla pracy ar- tystycznej, pracując wy- obrażnia — sam staje się odpowiednikiem, a ra- czej szeregiem odpowied- ników kreowanych przez siebie postaci. Człowiek dążący do pracy ar- tystycznej popada w anty- nomie pomiędzy własną przetrwałością (choroba zawodowa), a władzą trzeźwej obserwa- cji, która pragnie utrzy- mać w nie uszczupionej, a nawet wzmoczonej mo- cy. Dlatego jego wielo- mia nie są wcieleniami kryminalisty — są to wcielenia mentalne, w których ubiór i miejsce są kostiumem pomo- cnym w kreowaniu wne- trza postaci, która czło- wiek dążący do pracy ar- tystycznej pragnie op-isać zarówno w wew- nętrznych, jak i zewnę- trznych przejawach. Oto kilka elementów mojej wie- lorakości. Patrząc uważ- nie dokoła: inni są buj- nieli, ciekawiej wielo- kształtni i wcale nie są przez to groźni — zbyt są zajęci stwarzaniem sa- mych siebie jako metoda stwarzania innych. O was nie myślą chyba za pełnie — pragną sobie zaoszczędzić tylko upokarzającego przeświadczenia, że wzu- dzają w kimś lęk. Dlatego nie odczuwacie lęku ludzie prości, prości nie w socjalnym, ale w du- chowym kształcie swego człowieczeństwa. Nie o- dczuwacie lęku jeżeli je- szcze istniejecie — jeżeli nie rozplynęliście się w zło- żonej współczesności, wy i wasze obraźliwe obawy.

BERNARD SZTAJNERT

TRZY PROŚBY

— Proszę coś opowiedzieć. Ilia Abramycz — powiedział kładąc się na ciepłym złocistym piasku, kiedy dotarliśmy wreszcie po grzmiejącym pod nogami żwirze do ładnej miejscowości na alupiejskim wybrzeżu.

Ilia Abramycz tutejszy mieszkaniec, mały grubaś z opaloną twarzą i wesołymi oczyma, zsunął kapelusz na tył głowy i, jak zawsze, nie od razu odpowiedział. Tylko chytrze się uśmiechnął rozmyślając o czymś, o czym najprawdopodobniej wiedział tylko on, i wyjął z kieszeni marynarki butelkę wina.

— Ce, ce, ce — powiedział kręcąc głową. — W winie jest korek! Napije się pan? — dodał trzymając przygotowaną butelkę.

— Przecież korek! — odpowiedział zdecydowanie.

— Korek — zgodził się Ilia Abramycz. — Czy zna pan tureckie przysłowia? „Głupi jest ten, kto rzuca koldę w ogień z powodu jednej pchły!”

I dziarsko zarzucił głowę do tyłu przystawiając butelkę do ust.

Obok nas przechodziły dwie dziewczyny z pobliskich willi, Angielki, z ogromnym psem, którego kąpały po kilka razy. Potem z trudnością powłóki się po piasku młody, prawdopodobnie moskiewski kupczyk, już otyły i z zadyszka, ale dobroduszy jak dobrze utuczony cielak. Ich wszystkich Ilia Abramycz odprowadzał wesołymi, łagodnymi i chytrymi jednocześnie oczyma.

— No — powiedział, nagie zwracając się do mnie — opowiem panu wschodnią bajkę, o tym, o czym pan teraz myśli — o kobietach.

Rozesmiałem się.

— Skąd pan wie, że myślę o kobietach?

— Ce — powiedział Ilia Abramycz. — Wszyscy na

świecie myślą tylko o kobietach i wszystko na świecie jest dla nich. I wszyscy, wszyscy, no zupełnie wszyscy pieniądze tracimy na nie. Proszę posłuchać.

Podciągnął nogi pod siebie, położył kapelusz na piasek i przymknawszy oczy rozpoczął:

— Był sobie pewien Turek, dobry, uczciwy Turek, ale tak biedny, że całym jego bogactwem była tylko jego żona. Pracuje Turek, same ciężkie prace wykonuje i mimo to nie może odzwalczyć się od biedy. Wszystko idzie na jedzenie, a co zostanie — na podarunki dla żony. A żonę swoją bardzo kochał Turek i wstyd mu było kupować jej groszowe upominki. I zmartwił się Turek. Siedzi na progu swojej chatki i wdycha razem z żoną.

— Allah! Allah! Przecież widzisz jak ja pracuję i ani razu żadnej mojej prośby nie spełnisz! Nigdy nie zaznałem szczęścia i chyba tak już umrę pominięty przez twoją sprawiedliwość!

W tym czasie siedł prorok przez wieś. Podszedł do progu Turka, usłyszał jego skargę i pokłonił głową.

— Ach — powiedziała — do bry człowieka, na próżno użalas się na Allacha! Nie nadajesz się na to aby być szczęśliwym!

— Co? — mówi Turek. — Ja się nie nadaję, ja który prawie przy piersi matki już umiałem pracować?

— Nie — mówi prorok — nie nadajesz się. Za bardzo kochasz żonę.

Turek, proszę sobie wyobrazić, nawet się rozgniewał.

— Żonę kocham? No to co, ja i tak nigdy nie miałem szczęścia do przyjaciół, a ty jeszcze z żoną chcesz mnie poróżnić?

— Przeciwnie! — odpowiada prorok, a sam chytrze się uśmiecha. — Przyszłoby ci pomóc — mów.

— Niech cię Bóg błogosławi — powiada Turek — pomóż, szybciej pomóż, mówiąc szczerze to ja jeszcze nie jadłem dzisiaj.

— Wobec tego posłuchaj — mówi prorok. — Allah posyła ci szczęście, bowiem postanowił spełnić twoje trzy prośby. Możesz prosić o co chcesz — wszystko otrzymasz. Czyż to nie jest szczęście? Zobaczmy co z nim zrobisz.

I zniknął. Rozumie pan,

powiedział to i rozplynał się.

Mój Boże! Jakże cieszył się Turek wraz z żoną tego wieczoru!

A żona zaczęła udawać takie niewinątko i błagać: — Podaruj mi jedną prośbę!

— Zgoda — powiada Turek — i pozostałe dwie zabezpiecz mi szczęście do końca życia.

Spojrzał a żona już stoi przed nim tak piękna, jakiej nawet we śnie nie zobaczysz.

— No — mówi — jak ci się podobam? Właśnie zrealizowałam swoją prośbę. A teraz — rzuć dalej — żegnaj. Idę do Ibrahima-Hassana, on jest przystojniejszy od ciebie, a tak bogaty, że nie musi o to prosić Allacha. Teraz mnie nawet sam sultan weźmie.

Turkowi od tego aż w oczach pociemniało.

Jak nie wrzaśnie, jak nie rzuci się na żonę!

— O, Allah! — krzyczy — błagam cię przemień ja w najgorszą i najohydniejszą żabę!

Trach — i stoi przed nim już nie piękność, a — jak u was mówią — Baba-Jaga, że aż patrzeć przykro! Po tym wszystkim stoją małżonka i spoglądają na siebie.

— Pamięć mój — mówi żona — wspomnij co było dawniej, czy pamiętasz jak ciebie kochałam!

Padła na kolana z wielkim szlochem i błaga:

— Przywróć mi poprzednią moją postać!

Nie wytrzymał Turek, wspomniawszy to co było dawniej i mówi poprzez łzy.

— Zaklinam cię na wszystko, Allachu, zwróć mi moją poprzednią żonę!

I nagle, nie wiadomo skąd — prorok.

— Allah spełnił twoją prośbę — powiada. Dotkną ręką Babę-Jagę i stała się znowu poprzednią żoną Turka. — No — mówi prorok — teraz jesteś zadowolony?

— Zadowolony — odparł Turek i nie wie gdzie oczy podziać ze wstydu.

— Sam zdecydowałeś o

swoim szczęściu? — pyta prorok.

A Turek tylko ręką machnął.

— Masz rację — powiada — masz rację święty proroku. Wszystko kobieta zabrała. I niech będzie przekleństwo godziną, w której się z nią związałem!

— Dobra bajka? — dodał

Ilia Abramycz zaglądając mi w oczy.

Ilia Abramycz zaglądając mi w oczy.

Odwróciłem się ze śmiechem. Niestety w tym czasie byłem bardzo podobny do Turka z bajki.

Długo milcząc leżeliśmy na piasku. „O najdroższa, subtelna i naiwna wschodnia mądrości!” — myślałem spoglądając na purpurowy

przy zachodzie słońca Aj-Petri. A Ilia Abramycz udawał, że zapomniawszy o bajce, i miaskal pociągając z butelki.

— Dobrze, dobre wino! — mówił. — O, jakże głupi jest ten, kto rzuca koldę z powodu jednej pchły!

Ilia, ROMAN GORZELSKI



Lewym
okiem

CO JEDEN, TO LEPSZY!

Przyjemnie pomyśleć, że fachowcy, z których wiedzy i usług korzystam, są coraz lepsi. Odkąd sięgnę pamięcią — co jeden, to lepszy. Kiedy idę pierwszy raz do nieznanego fryzjera, okreca mi szyję przesłanym, odkłada tłącego się papirusa na skraj marmurowego blatu, tak że popiół zaraz spadnie mi na kolana, po czym dwoma palcami bierze mnie za czaszkę i lekko nią obracając stwierdza z wyraźnym nieśmakiem: — A któż to pana tak ostrzyży? To chyba nie był fryzjer?

Od razu wiadomo, że się nareszcie trafiło na fachowca wysokiej klasy, podczas gdy ten poprzedni to partacz. Ale poprzednik poprzednika jeszcze większy partacz, bo jego następcę, to znaczy bezpośredni poprzednik najnowszego naszego balwierza, też zaczął swą robotę od pytania: — A któż to... i tak dalej.

Nie zdarzyło mi się jeszcze spotkać krawca, który by oglądając przyniesioną do przeróbki jesionkę czy marynarkę — nie spytał: — Gdzież to panu tak uszyli? Popatrz Józiu (to do szewca, czyli do tak zwanej siły), jakie skopane!

Chodziło się w tej jesionce dwa sezony i człowiek ani pomyślał, że skopana. Teraz już wie. Ale teraz rzecz trafia wreszcie w ręce mistrza, który pokaże, jak powinna wyglądać jesionka. Dopiero za następne dwa lata, następny krawiec przystąpi, przyszyje, podrzuci na kark i zapyta zdegustowany: — Do kogoś pan z tym chodził, do kowala?

Kiedy w szkole po wakacjach przychodzi nowa pani od rachunków, nie omieszka na jednej z pierwszych lekcji uznać się nad dziećmi, że zanim ona się zjawiała — znajdowały się w tak niedobrych rękach: — Jak was ta pani uczyła, przecież wy nic nie umiecie! Zmarnowaliście pięć lat! Nowa pani od rachunków powtórzy to samo na pierwszej wykładówce rodzicom: — Dzieci mają duże zaległości, powie, będziemy musieli stracić dwa-trzy miesiące na uzupełnienie kursu poprzedniej klasy...

W ten dyskretny a przekonujący sposób dowiadujemy się, że oto nasze dzieci spotkał szczęśliwy los: trafiły na świetną nauczycielkę, szkoda, że o pięć lat za późno... Za dwa lata, a może za pół roku, przyjdzie jednak nowa nauczycielka, stwierdzi zaległości i niechętnie, ze zrozumiałych, prawda, względów, da do zrozumienia, co sądzi o swej poprzedniczce.

O lekarzach, którym każdy z nas oddaje w ręce najcenniejszą swoją, może jedyną cenną rzecz — zdrowie, można nieskończenie i na tysiąc sposo-

bów. Żeby jednak pozostać przy wątku tego felietonu: każdy lekarz jest lepszy od poprzedniego. Zmieniajcie lekarzy, a nadzieja na uzdrowienie będzie rosła w tempie atomowym.

Lekarz X każe wam niezwłocznie wyrzucić medykamenty, zalecane przez lekarza Y, i zaordynuje coś wręcz przeciwnego. W swej wieloletniej karierze żołądkowca przeszedł już przez kataryczny zakaz czarnego chleba, przez kataryczny nakaz wyłącznie czarnego chleba, przez dietę surowkową, przez wykluczenie surowek — nie mówiąc o diagnozach, które nie tylko się wzajemnie wykluczały, ale i uzupełnione były kompletnym ośmieszeniem diagnozy poprzedniej.

— Kto pani pozwolił zażywać cztery madrozimy dziennie, przecież tego koń ciężkiej wagi by nie wytrzymał, to zatruci! — mówi lekarz X. A trzy dni wcześniej lekarz Y nie tylko pozwolił, ale właśnie kazał. I pewnie obydwa przesadzają: ani ten madrozim cudownie nie uzdrowi, ani drastycznie nie zaszkodzi. Lekarze osiągną jednak wspólnymi siłami, przynajmniej w odniesieniu do pacjenta inteligentnego, to znaczy sceptycznego, jeden niewątpliwym wyznikiem: że w ogóle nie należy za bardzo wierzyć w to, co mówią, skoro mówią rzeczy sprzeczne i jeszcze wzajemnie się wykluczają. I to nad naszym żołądkiem, czy też nad gruzami żołądka.

Po co o tym mówię? Żeby udowodnić, że nie słusznie są spotykane tak często na prasie nierzeczności na niskim poziomie. Poziom się podnosi. Porównajcie swoich kolejnych krawców, kolejnych fryzjerów, kolejnych zegarmistrzów: co jeden, to lepszy!

CWIEK